


\* Václav Vorlíček, Jerzy Franczak, Katarzyna Mroczkowska-Brand i Tomasz Pindel, Martin Jabůrek, Václav Havel...



 Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!

grafika: PIO, 2006. Photo from Otranto - Roberta & Francesca, linoryt 5x7

Kraków, wrzesień 2007, Numer 12 (Rok 2)

PRZED CZYTANIEM, ROZCIĄĆ. PRZED ROZCIĘCIEM, USIĄŚĆ!

Klub LOKATOR Magazyn

ISSN 1898-1925  
ipix  
**mroówkojad**\*

**ipix** W tym miesiącu Mrówkojada\* dokarmia firma [www.ipix.com](http://www.ipix.com) **ipix**  
Serdecznie dziękujemy.

# Waldemar Libera Fredder Wanoth

## Szepty, półszepty i pomruki PODRÓŻ EGOCENTRYCZNA

Świadomość rodzi się wraz z buntem. (...) Człowiek jest jedyną istotą, która nie zgadza się być tym, czym jest. (...) Doskonała absurdalność usiłuje być niema.  
**Albert Camus**

„Głowy” powstały, zanim poznałem cykl o tej samej nazwie Jeana Frautriera z 1964 roku. Oko winno być okiem prawdziwym, niepoznanym, pozornym; to jest „istotowość” Huxleya, dotycząca nas samych- dzieci Boga. „Istotowość” nie jest dogmatem, konwencją, niekonwencjonalnością, słowem, nawet WIARĄ, jest samą w sobie, pierwotną ciszą i rozgardiaszem; Naturalnością. Zatem nos powstaje tam, gdzie nie winien. Usta są drążące lub umilkłe, mimo wszystko zawsze te same. Konkret przez swą namacalność winien mieszać się z tym, co poza „widoczne”, a czujące. Anonimowość staje się immanentna, a zarazem jest substancjalnością konkretną. „Głowa” jest najbardziej namacalnym substytutem naszego poznania. Człowiek i jego „głowa” jest zatem tym, co wewnątrz i na zewnątrz. W końcu „głowa” to „ja”- „konkret”, który jest zarazem każdym, „innym” „ja”, równie jednostkowym. Jest to proces, który ulega nieustannemu, nieskończonemu działaniu, podczas którego „konkret” jest wchłaniany przez każdy inny byt, rozmywający się w „istocie” „głów”.

**Waldemar Libera - ur. 1983, absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Nowym Wiśniczu, obecnie student V roku historii sztuki UJ.**

6.08 - 11.09, finisaż 10.09.07, g. 20.00  
[www.lokator.pointblue.com.pl](http://www.lokator.pointblue.com.pl) > galeria

Jakby specjalnie dla nas przygotowana i robiąca ogromne wrażenie inscenizacja rozgrywa się przed naszymi oczami: żeby podróż nam się zbyt długo nie dłużyła, usytuowane przy brzegach elektrownie ktoś wysadza w powietrze, podnoszą się przed nami mosty, albo wręcz przeciwnie i wtedy musimy kotwiczyć na rzece, a przed nami, jeden za drugim, w tempie piechura, przetaczają się długie pociągi z węglem. To dla nas okazja do pisania skarg, które zaczynamy mniej więcej tak: „Tak wiemy, że posiadacie Państwo najwolniejsze pociągi świata...  
**Fredder Wanoth, Dziennik podróży, 2000.**

Wystawa fotografii prezentowana w Domu Norymberskim obejmuje prace powstałe podczas dwóch podróży statkiem po Dunaju: z Niemiec aż nad Morze Czarne, które artysta odbył w 2005 i 2006 roku. Prawie 350 godzin spędzonych na wodzie zaowocowało ponad dwoma tysiącami ujęć, będących fotograficznym portretem jednej z najdłuższych europejskich rzek.

**Fredder Wanoth studiował komunikację wizualną i malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych w Norymberdze. W latach 1989/90 był stypendystą Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i od tego czasu regularnie odwiedza kraje Europy Wschodniej. W 2001 roku artysta został wyróżniony Nagrodą Kulturalną Miasta Norymbergi, a w tym roku otrzymał Nagrodę Wolframa Eschenbacha.**

14.09 – 04.10.2007, wernisaż, 13.09, g. 19.00  
Dom Norymberski / Klub Lokator, Kraków, ul. Krakowska 27



WYDAWCA:



**KLUB LOKATOR**  
Kraków, ul. Krakowska 27  
POLSKA

REDAKCJA:

Iga Noszczyk, PIOTR Kaliński,  
Jacek Olczyk, Stanisław Kot,  
Igor Kędzierski, Paweł Ścisbiś,

WSPÓŁPRACA I TŁUMACZENIA:

Agnieszka Taborska, Adam Urzyski,  
Zuzanna Skoczek, Jakub Armata, Iwona Łyko

KOREKTA:

Zuzanna Skoczek, Magda Podziewska,

DZIAŁ FOTO:

Kuba Pierzchała, PIOTR Kaliński,  
Kamila Sosnowska, Paweł Piotrowski

ILUSTRACJE:

PIO, Tuusta Żabka

KOMISJA REWIZYJNA:

Magda Podziewska

PROMOCJA:

klub LOKATOR  
Kraków, ul. Krakowska 27  
[www.lokator.pointblue.com.pl](http://www.lokator.pointblue.com.pl)  
[lokator@pointblue.com.pl](mailto:lokator@pointblue.com.pl)

KONTAKT Z REDAKCJĄ:

[mrwkojad@pointblue.com.pl](mailto:mrwkojad@pointblue.com.pl)

MIEJSCA GDZIE GRASUJE MRÓWKOCAD:

KRAKÓW: Klub Lokator, ul. Krakowska 27, Nowy Teatr, ul. Gazowa 21, Korporacja H&art, pl. Szczępański 3A, Missolit Books, ul. Feljaniek, NOWY SĄCZ: Kawiarnia Prowin-cjonalna, ul. Wąsowiczów, STARY SĄCZ: Galeria pod Piątką, Stary Rynek 5, RZESZÓW: Klub Drukarnia, ul. Bożnicza 6, WARSZAWA: Księgarnia Tarabuk, ul. Browarna 6; PRAGA: Instytut Polski, Male nám. 1 OPAVA: Instytut tvurci fotografie, Beznucovo nám. 13, NORYMBERG: Dom Krakowski, Hintere Insel Schütt 34, ZAGRZEB: KK Booksa, Mariceva 14d, ulice Lublany :)

STAŁA WSPÓŁPRACA:

**kinoskop.pl**



# ENH `07



Jakub Armata

## Festiwalowy syndrom

Kolejki. Gigantyczne kolejki rozciągające się przez cały hall, czy „schodzące” nawet o jedno piętro kina Helios. Często nawet na godzinę przed seansem. To znak rozpoznawczy tegorocznej edycji festiwalu Era Nowe Horyzonty. W gruncie rzeczy nic nowego. Po spokojnym poprzednim roku - publiczność chyba była nieco onieśmielona przeprowadzką do dużego miasta - powraca cieszyńska tradycja koczowania.

Wystarczy impuls, dwie osoby, które wcale nie miały złych intencji i chciały jedynie wziąć gazetkę festiwalową (pech chciał, że akurat leżała koło sali nr 1 w Heliosie) i już tworzy się wianuszek kilkudziesięciu niemogących spokojnie wysiedzieć osobników, wyczekujących na upragnioną projekcję. Inni nie mają wyjścia - dołączają, wszak istnieje ryzyko, że się nie dostaną. Nie ma jak psychologia tłumu.

To zjawisko, które w miarę kolejnych festiwalowych dni przybierało na rozmiarze, najlepiej, a jednocześnie najboleśniej zaobserwować można było przy okazji retrospektywy Hala Hartleya. Żeby wejść na film amerykańskiego reżysera trzeba było stanąć w kolejce grubo godzinę przed projekcją, nie wspominając już o wieczornych pokazach, po których odbywały się spotkania z twórcą. Takiego zainteresowania filmowym dorobkiem reżysera „Zaufania” czy „Henry’ego Foola” nie przewidzieli sami organizatorzy, pierwotnie lokując projekcje w mniejszych salach Heliosa. Pękaly one w szwach, a spora część chętnych i tak musiała odejść z kwitkiem (mnie zdarzyło się to dwa razy). Na szczęście w porę się zreflektowano i retrospektywa Hartleya została przeniesiona do większych obiektów. Niewątpliwie to niewyobrażalne zainteresowanie twórczością Hala Hartleya było zarówno dla mnie jak i dla organizatorów największą niespodzianką tegorocznych Nowych Horyzontów. Oczywiście in plus.

Muszę przyznać, że wbrew obiegowym krytycznym opiniom odnośnie tegorocznej edycji festiwalu mnie on przypadł do gustu, co sprowadza się do faktu, że było wiele filmów, które do mnie trafiły, w jakiś sposób mnie urzekły. Począwszy od konkursu, który był o wiele bardziej „ludzki” niż w zeszłym roku - znakomite „Do ciebie człowieku” Roy’a Anderssona, „Ciche światło” Carlosa Reygadasa czy „AFR” Morgana Hartza Kaplarsa, przez filmy z Panoramy - Reprise Joachima Triera, „Piękność w opałach” Jana Hřebjeka czy „Dzieciństwo” Geli i Temura Babluani. Jednak największe wrażenie zrobiły na mnie dwa filmy - tureckie „Czasy i wichry” w reżyserii Reha Erdema oraz kończący festiwal „Control” Antona Corbijna.

Pierwszy z nich to spokojna, melancholijna opowieść o życiu w małej tureckiej wiosce, przedstawiona z perspektywy trzech dorastających chłopców - Omera, Yakupa i Yildiza. Powolna, precyzyjna narracja w połączeniu z przepięknymi krajobrazowymi zdjęciami autorstwa Florenta Herry’ego i muzyką Arvo Parta sprzyja kontemplacji i refleksji, jaka towarzyszy projekcji. Z kolei „Control” to portret Iana Curtisa, wokalisty legendarnego Joy Division. To opowieść o człowieku, który nie może poradzić sobie z rosnącą sławą, presją, jaka towarzyszy mu od momentu, kiedy staje się rozpoznawalny. Wreszcie, pomijając podobieństwo do rzeczywistych zdarzeń, gdyż wcześniej nie znałem dobrze frontmena Joy Division, i oceniając materię stricte filmową, to bardzo przejmujący obraz upadku człowieka.

Rozczarowaniem związanym z tegorocznymi Nowymi Horyzontami był dla mnie cykl, po którym spodziewałem się bardzo wiele, biorąc pod uwagę lata poprzednie. Mianowicie Nocne szaleństwo. Pamiętając projekcje „trylogii obrzydliwości” Petera Jacksona w kinie Era czy seanse bollywoodzkie w Piaście liczyłem zdecydowanie na coś więcej. Pierwszym niepokojącym znakiem była ilość filmów, które znalazły się w sekcji - jedynie cztery. Można to jednak łatwo wytłumaczyć faktem, że organizatorzy chcieli „pójść” w jakość, a nie ilość. Niestety w moim mniemaniu się to nie udało. Film Park Chan-wooka - „Jestem cyborgiem i to jest OK” jest przeciętny, żeby nie powiedzieć słaby, Tsukamoto z „Detektywem nocnych koszmarów” kontynuuje tendencję spadkową, zapoczątkowaną filmem „Vital” (brał udział w zeszłorocznym konkursie). Paradoksalnie najkorzystniej spośród tych filmów zaprezentował się ten, na który najmniej liczyłem, czyli „The Host: Potwór” Bong Joon-ho.

Niemniej jednak po powrocie z 7. edycji festiwalu Era Nowe Horyzonty już z odrobiną niecierpliwości czekam na kolejną, zwłaszcza na retrospektywę Theo Angelopoulosa. Oby tylko nie było tak jak z Hartleyem... co do kolejek oczywiście.



Adam Uryniak

## Siódemka niezbyt szczęśliwa

Za nami siódma już odsłona festiwalu Nowe Horyzonty. W tym roku ponownie gościł we Wrocławiu i wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że zatrzyma się tam na dłużej. Zakończenia zwykle nastrajają człowieka nostalgicznie i skłaniają do przemyśleń. W przypadku festiwalu filmowego takie przemyślenia sprowadzają się przeważnie do różnego rodzaju podsumowań.

W wielu sekcjach (konkurs, panorama, retrospektywy

Hartleya, Felliniego czy Szkoły Polskiej) można było zobaczyć ponad 600 filmów. Oczywiście przeciętny festiwalowicz był w stanie obejrzeć jedynie pewną część oferowanych tytułów, a to nieraz wiąże się z potężnym bólem głowy - bo jak tu wybierać, żeby trafić najlepiej? W porównaniu z zeszłym rokiem wybierałem dużo mniej trafnie, ale i tak udało mi się obejrzeć przynajmniej dwa filmy, które z czystym sercem mógłbym polecić każdemu. Były to „Partnerska rozgrywka” („Two Hands”) w reżyserii Gregora Jordana oraz „Wygłani” („Fong Juk”) Johnny’ego To. Oba filmy plasują się raczej na peryferiach zainteresowań festiwalu, ale cóż poradzić, akurat one podobały mi się najbardziej. „Partnerska rozgrywka”, wyświetlana w ramach retrospektywy kina australijskiego, to czarna komedia przypominająca dokonania Guya Ritchiego. Bohaterem jest młody chłopak, który podejmuje się pracy dla lokalnego gangstera. Ma dostarczyć w umówione miejsce 10000 dolarów, niestety gubi je w niezwykle głupich okolicznościach. Jego dotychczasowy pracodawca wydaje na niego wyrok i nasz bohater musi się bardzo postarać, aby uratować swoją głowę. Film co chwila eksploduje coraz to bardziej brawurowymi pomysłami, z których wiele można nazwać makabrycznymi. Jego najsilniejszymi stronami jest precyzyjna konstrukcja intrygi, soczyste dialogi i nieprzeciętne postacie wypełniające film. Oczywiście nie jest to film, który mógłby aspirować do kategorii arcydzieł kina artystycznego, ale wydaje mi się, że po dniu pełnym ciężkich doświadczeń (filmowych i nie tylko) jest w stanie dostarczyć rozrywki każdemu.

„Wygłani” to z kolei gangsterzy na poważnie. To opowieść o pięciu płatnych zabójcach, którzy działają w Makau tuż przed przejściem tej wyspy przez Chiny. Bohaterowie zostają wystawieni przez swojego zleceńodawcę i muszą walczyć o życie. Oczywiście są ludźmi honoru i muszą pomścić zdradę, a to oznacza wypowiedzenie wojny całej Triadzie. Johnny To uformował swój film z klasycznych chwytów i tematów gangsterskiego kina z Hongkongu. Są szlachetni i nieustraszeni bohaterowie, okrutni i groteskowi przeciwnicy, zapierające dech w piersiach i przywodzące na myśl balet sceny strzelanin, jest także pewna dawka humoru. Mógłbym w nieskończoność rozwodzić się nad każdym fragmentem filmu, ale nie takie przeznaczenie tego tekstu.

To, czym ENH 2007 rozczarował mnie najmocniej, to tegoroczny klub festiwalowy. Zawsze było to miejsce, gdzie po ciężkich filmowych dniach, można było się spotkać, posłuchać muzyki, coś przekąsić lub przy piwie porozmawiać o wrażeniach dnia. Tegoroczny klub był cieniem tego wszystkiego. Brak atmosfery, brak ludzi, prawie kompletny brak koncertów. Całość przypominała marny ogródek piwny, a nie serce festiwalu. Wspomnienie zeszłorocznych tłumów, wypełniających klub nawet o 4 nad ranem, dopełniało kielicha goryczy. Festiwalowicze rozpięchli się po całym starym mieście i jakoś wtopili się w otoczenie. To pozwala mi sądzić, że nie tylko mnie nie usatysfakcjonowała nowa formuła klubu.

Więc jaki był ENH 2007? Ja ze smutkiem muszę powiedzieć, że tegoroczną edycję uważam za najsłabszą z tych, w których uczestniczyłem (czyli z czterech). Oczywiście ocena jak zawsze bardzo subiektywna. Być może źle wybierałem filmy, o kiepskich porach przychodziłem do klubu. Muszę przyznać, że rok temu festiwal za bardzo mnie rozpieścił i w porównaniu z tym, do czego przywykłem, ENH 2007 wypadł troszkę blade.

**kinoskop.pl**



Foto: MINOSKOP.pl

# Arabela na zamówienie

Rozmowę z Václavem Vorlíčekem, „Królem czeskiej komedii” przeprowadziła Iwona Łyko

Kapryśność tegorocznego lata nie przeszkodziła, aby na festiwalu w Karlovyh Varach dopisały tłumy kinomanów. Spośród ich rzeszy wyróżniał się starszy pan, który spacerował po tonącym w deszczu miasteczku, z wielkim czarnym parasolem oraz z łagodnym uśmiechem na twarzy. Był to Václav Vorlíček. Znany przede wszystkim z serialu *Arabela* (1979), na którym wychowały się całe pokolenia Polaków, Czechów, Słowaków i Niemców, przezabawnej komedii *Kto chce zabić Jessi* (1966), a ostatnio z wzruszającej baśni filmowej *Król sokołów* (2000).

**Iwona Łyko: Realizuje Pan filmy od niemal pół wieku, który okres jest dla Pana najważniejszy ze względu na rozwój twórczy?**

Václav Vorlíček: Moment, kiedy zacząłem robić filmy. Debiutowałem w 1960 roku filmem „Przypadek Łupinek”. Ponieważ ja oraz kolega ze studiów poeta Josef Brukner mieliśmy małe dzieci, postanowiliśmy zrobić im radość i zrealizować dla nich film. Dla mnie była to droga w stronę samodzielnej reżyserii. Chociaż praca z dziećmi jest ciężka i uciążliwa, powtarzałem sobie, że dam radę, bo w końcu jako ojciec posiadam na tym polu pewne doświadczenie. Powstał całkiem zabawny oraz trzymający w napięciu film szpiegowski dla dzieci. Główny bohater to chłopiec, który udaje detektywa, grał go Martin Švehla. W życiu dorosłym z tego małego aktora stał się rzecznikiem Banku Narodowego, a potem dyrektorem finansowym w Czeskiej Telewizji.

**W latach 50 - tych był Pan studentem praskiej szkoły filmowej FAMU. Jak Pan wspomina ten okres?**

Całe szkolnictwo było pod ostrym nadzorem ideologicznym. Jednak studenci szukali własnych ścieżek, dzięki którym mogliby uniknąć ograniczeń. Dlatego mimo nadzoru, potrafilismy całkiem niezłe się bawić.

**Kończył Pan studia w 1956 roku...**

Tak. Mój film dyplomowy to *Dyrektywa*. Ponieważ świat był wówczas dla nas zamknięty i nigdzie nie można było wyjechać, z kolegą Karlem Friedrichem postanowiliśmy zrobić film o tym, jak bardzo nas denerwują te restrykcje. Napisaliśmy scenariusz komedii, w której bohater miał jechać z zespołem wokalnym do Polski, lecz pojawiło się na jego temat jakieś oszczerstwo. W konsekwencji została wydana dyrektywa, zgodnie z którą władze cofnęły mu pozwolenie na podróż, a zespół wyruszył bez niego. Następnie okazało się, że zaszła pomyłka i mężczyzna może jechać. Jednak zezwolenie znów zostało cofnięte. Kiedy w końcu bohater wyjeżdża, zespół wraca do kraju z kolejnego tournée. A przyczyną wszystkiego był bat ukręcony z absurdalnej dyrektywy... Film stanowił wielką satyrę na świat urzędników. Ponieważ dokładnie po dwóch dniach od antykomunistycznego powstania na Węgrzech złożyłem go na egzaminie końcowym, jego temat stał się jeszcze bardziej palący. O mały włos nie zaliczyłbym egzaminu.

**Istniała współpraca między linią, z której wychodził Pan oraz Oldrich Lipský, a twórcami czechosłowackiej nowej fali?**

Znaliśmy się ze szkoły i codziennie spotykaliśmy się na Barrandowie. Nie tworzyliśmy żadnych oddzielnych kast. Na zagranicznych festiwalach - między innymi w Locarno - w kolekcji czechosłowackiej kinematografii, znajdował się na przykład film „Kto chce zabić Jessi”, który reprezentował tam nasze dokonania w zakresie komedii.

**Czuje się Pan autorem filmu?**

Tak, chociaż istnieje współpraca ze scenarzystą oraz ze stałą ekipą, autor jest jeden. Scenarzysta napisze scenariusz i pojedzie na urlop, a ja zostaję z filmem sam na sam...

**W jakich okolicznościach powstał tandem Vorlíček & Macourek?**

Był 1961 rok, kiedy prawie wszyscy filmowcy jechali pociągiem na festiwal filmowy do Zlína. Z Milošem znaleźliśmy się wówczas tylko z widzenia. Podróż była długa, pociąg nie miał wagonu restauracyjnego, a ja byłem głodny. Miloš stał na korytarzu i coś jadł, więc mnie poczęstował. W trakcie jazdy okazało się, że posiadamy ogromnie dużo wspólnych zainteresowań. Jednym z nich były sztuki piękne, które Macourek kiedyś wykładał. Ja natomiast mam żonę malarkę, więc ten temat jest mi także bliski.

Ponieważ Miloš pomału zaczął przekwalifikowywać się z dramaturga na scenarzystę, umówiliśmy się, że zrobimy wspólny film.

**W ten sposób doszło do powstania wspomnianej komedii „Kto chce zabić Jessi”?**

Dokładnie tak. Nazywaliśmy ten film celowo, jak większość widzów *Jessi*. Miałem stary pomysł, żeby ożywić postacie z komiksu. Miloš dobrze się znał z Karlem Saudkiem, który w tej dziedzinie posiadał jakieś doświadczenie. Po zgromadzeniu materiałów pojechałem z Macourkiem na jego daczę. Tam przez sześć tygodni pisaliśmy scenariusz, który następnie przeszedł przez komisję zatwierdzającą i poszedł do produkcji. Po raz pierwszy w Czechosłowacji wyciągnęliśmy na światło dzienne komiksy, co dodawało filmowi troszkę pikanterii.

**Od jak dawna interesował się Pan komiksami?**

Od czasów dzieciństwa. Znałem komiksy ze starych gazet i z tego, co zostało po wojsku amerykańskim. Żołnierze otrzymywali czasopisma z komiksami, a następnie wyrzucali je na ulicę przed gorzelnię w południowo-czeskim miasteczku Blatná, czyli tam, gdzie na linii demarkacyjnej stacjonowało wojsko. Jako chłopcy wyciągaliśmy te czasopisma, a potem je czytaliśmy.



### Jako nastolatek zagrał Pan w filmie Josefa Macha „Na dobrej stopie” (1948). Jak do tego doszło?

Kierownik naszej drużyny skautów napisał scenariusz, który miał zostać zrealizowany przez upaństwowiony Czechosłowacki Film. Film kręcono na naszym obozie, a my graliśmy epizody. Oczywiście reżyser posiadał swoją stałą ekipę aktorów, która składała się z członków grupy Dismana. Należeli do niej: Tonda Sura, Karel Richter, Zdenek Borovec<sup>(1)</sup>. W trakcie zdjęć zaprzyjaźniłem się z reżyserem Machem oraz operatorem Holpuchem.

### I to był początek Pana przygody z filmem?

Tak. Kiedy reżyser zauważył moje zainteresowanie, zaprosił mnie na plan, abym mógł obserwować pracę końcową. Po zapoznaniu się z tym procesem, stwierdziłem, że praca z filmem mogłaby stanowić dla mnie całkiem ciekawe zajęcie. Przypomina trochę romans z przygodą; wyjeżdża się na zdjęcia w plener, ekipa mieszka razem, potem wszyscy wracają na Barrandov, gdzie robi się kolejne zdjęcia... Dlatego zaraz po maturze poszedłem na egzaminy wstępne na FAMU, gdzie od razu zatrzaśnięto za mną drzwi, ponieważ zarówno moja wiedza praktyczna, jak teoretyczna była bardzo mała. Udałem się wtedy na Barrandov i przez półtora roku byłem czwartym asystentem reżysera Martina Frièra. Po upływie tego czasu już się dostałem na FAMU.

### Jest Pan uznawany za króla czeskiej komedii. Co według Pana stanowi podstawę tego gatunku?

Komedia musi rozbawić. Jednak aby do tego doszło, nie wystarczy jej wypełnić pojedynczymi gagami oraz żartami słownymi. Komedie pojawia się, kiedy pomysł pociąga za sobą humor sytuacji, który następnie się rozwija i jest stopniowany.

### Co Pan sądzi o współczesnych komediach?

Nie podoba się mi, że w niektórych filmach współczesnych rozluźnienie obyczajów przejawia się na przykład poprzez nadużywanie przekleństw. Przekleństwa powodują, że śmiech zostaje na widzu wymuszony. A to nie jest ani prawdziwa komedia, ani nawet tragedia. To nic innego, niż tani humor.

### Oprócz „błażeńskich komedii”<sup>(2)</sup>, tworzy Pan filmy dla widzów najmłodszych, w których dzieci grają główne role. Co w tej współpracy najbardziej zaskakuje?

Okazało się, że trzeba uważać na bardzo dużą spostrzegawczość dzieci. Dzieci obecnie oglądają dużo kreskówek, dzięki czemu bywają bardziej spostrzegawcze od dorosłych. Pewnego razu pokazywałem im

film z mojej kasy, a rodzice zadawali pytanie: „Powiedz mi, o co tam chodzi?”. Dzieci dokładnie wszystko pamiętały i wyjaśniały rodzicom, to, czego nie zauważali.

### Film *Trzy orzeszki dla Kopciuszka* (1973) został okrzyknięty przez najmłodszych odbiorców czeską baśnią filmową stulecia. A jakie filmy lub książki w okresie dzieciństwa podobały się Panu najbardziej?

Królowna Śnieżka Disneya, baśnie Erbena, Bajki Ęapka oraz Dickens - z jego twórczości pochodzi imię Arabela...

### Właśnie chciałam zapytać o „Arabelę”. W jaki sposób doszło do powstania tego słynnego serialu?

„Arabela” powstała na zlecenie. Naszymi filmami zainteresował się niemiecki producent i zamówił u nas serial. Na początek mieliśmy zrealizować trzydzieści odcinków, po 28 minut każdy. Chodziło o swego rodzaju *variete*, które by było uniwersalne i zrozumiałe w każdym europejskim państwie. My jednak zamieniliśmy pierwotną koncepcję na konfrontację bajki z rzeczywistością. Ponieważ serial odniósł ogromny sukces w Czechosłowacji oraz w Niemczech, w latach 90 - tych powstała jego kontynuacja. Ale w nią musimy włożyć ogromny wysiłek, bo należało uzupełnić scenariusz o całe mnóstwo pomysłów, które by były nośne.

### W drugiej połowie lat 70 - tych powstała pierwsza część nieznaną w Polsce trylogii wina...

Trylogia wina składa się z filmów: „Burzliwe wino” (1976), „Dojrzałe wino” (1981) oraz „Młode wino” (1986). Nowy dyrektor Barrandova, dr Miloslav Fabera, powiedział, że powinniśmy nakręcić film na podstawie socrealistycznej powieści Jana Kozaka „Święty Michał”, bo w przeciwnym razie nie będziemy mogli realizować swoich projektów. Chociaż doszło do powstania trylogii, z pierwowzoru zostało niewiele.

### Powoli przechodzimy do przełomu lat 80/90 - tych. Jak twórcy odnaleźli się w kinematografii czzechosłowackiej, kiedy po roku 1989 upadł zastany system?

Czechosłowacki Państwowy Film był dobrze zorganizowanym przedsiębiorstwem, który zagamiał wszelką produkcję filmową - krótki film, animację, dokument aż po mniej więcej 35 pełnometrażowych filmów fabularnych rocznie. Jednocześnie w jego skład wchodził Filmexport, który zapewniał sprzedaż naszych filmów zagranicą oraz zakup filmów z innych krajów do

czzechosłowackiej dystrybucji. Po 1989 roku szybko nastąpiła niefortunna prywatyzacja, która zniszczyła stosunkowo sprawnie działający mechanizm. Jednak filmowiec-entuzjasta jest niezniszczalny. Dlatego w niedługim czasie uformowały się grupy pozbawionych pracy specjalistów, którzy zaczęli robić filmy na własną rękę, często w nienajlepszych warunkach i za byle jak uzyskane pieniądze.

### A jaka jest aktualna sytuacja?

Obecnie powstaje około 20 filmów fabularnych rocznie i sytuacja bardzo powoli zmienia się na lepsze. Ale to kosztuje ogrom wysiłku tych, którzy nie chcą dopuścić do upadku filmu czeskiego oraz podejmują walkę z niechętną, obojętną biurokracją. Nawet prezydent w ubiegłym roku zawetował ustawę, która mogłaby pomóc kinematografii w tej trudnej sytuacji.

### Powróćmy do przyjemniejszego tematu, czyli do Pańskich filmów. W ostatnim czasie realizuje Pan głównie baśnie filmowe. W 2000 roku powstała wielka koprodukcja, „Król sokołów”, film, który zdobył dużo nagród na międzynarodowych festiwalach, rok później „Mach, Šebestová” i „Czardziejska słuchawka”. Jakie są Pana dalsze plany? Aktualnie pracuję nad filmem „Saxana” - targowisko straszylek, który jest swobodną kontynuacją filmu „Dziewczyna na miotle”. Będzie to prawdopodobnie kombinacja filmu fabularnego z animacją 3D. Opowieść została stworzona na bazie komedii dla dzieci i dla dorosłych. Głównymi bohaterami są córka Saxany, jej rodzice oraz cała gromada postaci bajkowych.

### Co w filmie odpowiada Panu najbardziej?

Jego różnorodność i nieograniczona przestrzeń...

## Wywiad przeprowadziła Iwona Łyko, współpraca Tomáš Horava

<sup>1</sup> W 1935 roku czeski reżyser teatralny i dramaturg - Miloslav Dismán - założył w Pradze, trwającą do dziś, radiową grupę recytacji dziecięcej, tzw. DRDS (Dismánův rozhlasový dětský sbor), która była przyczynkiem do stworzenia na początku lat czterdziestych intymnego teatru dziecięcego.

<sup>2</sup> Tzw. blázňová komedie Vorlíčka - termin ukuty przez czeskich krytyków.

# Agnieszka Taborska OKRUSZKI

**Bezpieczne miejsce**  
Kilka godzin po masakra na uniwersytecie w Blacksburg w Wirginii, najbardziej krwawej we współczesnej historii Stanów, oglądamy na CNN relację z chaotycznych początków śledztwa. Zginęły trzydzieści dwie osoby, kim był zabójca nie wiadomo. Na ekran bez przerwy wraca student, który miał dość przytomności umysłu, by kamerą w telefonie komórkowym sfilmować biegnących policjantów. Na ścieżce dźwiękowej słychać strzały, oddawane przez szaleńca w środku budynku. Dziennikarz informuje, że pada ich dwadzieścia siedem. „Dziękuję, że policzył pan strzały” - usmiecha się student. Potem tłumaczy, że zaczął filmować dopiero wówczas, gdy zobaczył, że policjanci wyciągają broń. Wtedy zrozumiał, że to nie zwykła ewakuacja, spowodowana informacją o bombie. Kiedy po raz kolejny oglądamy niewyraźne wideo, głos z offu przypomina, że pierwszy dzień zajęć w Virginia Tech został w tym roku odwołany, gdy - po udeccze z więzienia i zabiciu strażnika oraz zastępcy szeryfa - na kampusie schronił się groźny przestępca. I że na miejscu dzisiejszej tragedii dwukrotnie w ostatnim tygodniu anonimowe telefony wywoływały alarmy bombowe. Potem znów odzywa się student: „Do wczoraj nasze miasteczko było najspokojniejszym miejscem na ziemi”. „Skąd pan jest? - Z Bagdadu” - dopowiada M. „Skąd pan jest?” - pyta po chwili dziennikarz. „Z Palestyny”.

### Mieszkanie

Retoryka agentów mieszkaniowych przypomina retorykę polityków: dużo słów, odnoszących się do sytuacji w sposób jak najbardziej ogólnikowy. Szerokość jednych i drugich bez przerwy jest ograniczana mnóstwem niezależnych od nich czynników. I jedni, i drudzy, dążą do konkretnego celu. Agenci mieszkaniowi przypomnieli mi się w trakcie oglądania relacji z pierwszej tury wyborów prezydenckich we Francji. Kandydaci mówili mniej więcej to samo, odmieniając na tysiące sposobów magiczne słowo „Zmiana”. Szukając kilka lat temu mieszkania, odebrałem lekcję polityki. Dwa warunki - że chcemy zamieszkać na ostatnim piętrze i nie przy placu zabaw - agenci interpretowali niczym prawdziwi mężowie stanu, bez zmirzenia oka proponując nam mieszkanie na parterze z oknami wychodzącymi na przedszkola. Bo co prawda nie było to dokładnie to, co WYDAWAŁO nam się, że chcemy, ale... Dyplomatyczny rekord pobila agentka, usiłująca sprzedać zagrożone poddasze w strasznej kamienicy na robotniczym Zoliborzu. Gdy przyjechałszy je obejrzeć, poczuliśmy się jak na planie Lokatora Polańskiego. Zewsząd śledziły nas nieprzychylnie oczy: grubych kobiet w kiedys białych, koronkowych stanikach, opalających się na zaśnieconym podwórku przy wiazie do karnalu oraz brucznych mężczyzn w dziurawych, przepocornych podkoszulkach, opartych o barierki balkonów z puszką piwa w ręku. Potworne było wszystko, ale najbardziej - śmierzcząca stęchlizna klatka. „Na klatce jest straszna wilgoć, ściany są pokryte liszajami” - powiedziała, żeby powiedzieć cokolwiek. Agentka musiała często oglądać konferencje prasowe polityków. „To tylko wygład” - wyjaśniła.



Foto: Piotr Kaliński. Kraków 2003.

# Znokautować sędziego

## Z Jerzym Franczakiem\* o języku, *Grawitacjach* i *Przymierzalniach* rozmawia Zuzanna Skoczek

Zuzanna Skoczek: Pogrzebałeś poezję, ale został Ci specyficzny język - mnóstwo skojarzeń słownych, neologizmów; rozmyślnie wprowadzasz poetyczność w prozę? Czy, wedle zdania „Odpowiada mi wszystko, co nie jest do końca sobą, czyli od początku jest niczym”, tworzysz „nic”?

Jerzy Franczak: Nie pogrzebałem poezji, dopuściłem się tylko małego rytualnego mordku – na poecie, który był we mnie. A oznacza to mniej więcej tyle, że ostatni wiersz napisałem w ubiegłym stuleciu. Przede wszystkim trzeba oddzielić od poezji to, co nazwałam „poetycznością”. Kiedyś Jarek Mikołajewski powiedział mi, że moje rozstanie z poezją to błąd i pójsie na łatwiznę, bo proza jest prostsza, w pewnym sensie prostoduszna, a poezją jest sprawa języka. Otóż dla mnie – i nie jestem pod tym względem sam – proza też jest sprawą języka. I nie chodzi tu o jakąś awangardową przekorę – że pokójarze wyrazy, połączę je w ekscentryczne pary, niech się sobie dziwią! Chodzi o rzecz absolutnie podstawową: o nieprzezroczystość języka, która łączy się sekretnie z nieprzejrzystością świata. Bo świat, jaki znam, jest niejasny i dziwnie pomieszany... a „pomeszany” znaczy „szalony”. Przygody słów, ich totalne błędy i drobne obłądki, to część naszego doświadczenia. Próbowanie się z nimi, naśmiewanie się z ich słabości, ćwiartowanie ich, nie wiem, osadzanie ich na tronie, rozbijanie układów – to wszystko próby prowokowania rzeczywistości, żeby odsłoniła się na jakieś okamgnienie. Stąd we wszystkim, co piszę,

a w „Grawitacjach” chyba w szczególności, nie ma konsekwencji, nie ma jednej strategii; jest zmieniająca się taktyka, działania obronno-zaczerwne i drobne utarczki słowne, prowadzone we wszystkich znanych mi językach.

ZS: Temu służy ta wielość stylów, ta hybrydyczność formy?

JF: Jasne! Przecież styl nie jest tylko opakowaniem, pudełkiem z kokardką, a forma nie jest listkiem figowym. Jeśli decydujesz się pisać tradycyjną powieść realistyczną, w trzeciej osobie, maksymalnie przezroczystym stylem, to przyjmujesz milcząco pewną wizję świata i rozumienie literatury. Ten świat jest racjonalny, urządzony hierarchicznie (mimo że czasem niesprawiedliwie), daje się poznać i opisać. Jeżeli natomiast piszesz przewrotną caczuszkę w duchu Barthelme’a, to musisz chyba założyć coś wręcz przeciwnego albo, co gorsza, nie zakładać niczego. Ja wybieram to ostatnie rozwiązanie, wybieram ciągły ruch; po trosze dlatego, że boję się skostnienia, a po trosze dlatego, że nie wierzę w żaden punkt archimedesowy. Wiesz, piszę o tym właśnie w „Grawitacjach”: że nie znajduję (i nawet nie szukam) oparcia w żadnym systemie, żadnej filozofii, ideologii, religii. Lubię te dyscypliny, te sporty grupowe, kibicuję jednym i wygram drugim, ale nie dałbym się zabić za żadne barwy klubowe. Co więcej, kiedy sam wchodzę na boisko, zdarza mi się z rozmysłem strzelić samobójca albo znokautować sędziego!

Wtedy – co prawda – czuję się jak wygrany, ale wszyscy są nagle przeciwko mnie, bo popsulem zabawę...

ZS: Nie przesadzaj, wszyscy ci kibicujemy! Właśnie, w „Grawitacjach” pojawia się plejada Lokatorów. To dla nich przeznaczona jest ta książka, czy są po prostu tłem – a jeśli tak, znaczącym czy nie?

JF: No wiesz? Moi przyjaciele, większość znajomych to Lokatorzy! To siłą rzeczy i adresaci „Grawitacji”, i ich bohaterowie. Zdają sobie sprawę, że ich osoby są niekiedy dość instrumentalnie potraktowane: sprowadzone do jednego charakterystycznego rysu, do jednej anegdotki, pochłonięte i sponiewierane przez „wartki nurt opowieści” [śmiech]. Ale liczę na ich wyrozumiałość: taka jest cena tego rodzaju gry, gry w otwarte karty, że tak powiem. Chociaż to może zbyt górnolotne określenie, zważywszy, że karty są znaczone, a ja sam udaję prestidigitatora.

ZS: Wydanie „Grawitacji” zostało wsparte przez Ministerstwo Kultury w ramach Promocji Czytelnictwa – czy czytanie o perypetiach młodego literata może zachęcić do czytania w ogóle?

JF: Szczerze mówiąc, nie interesuje mnie to ani trochę. Ludzie nie czytają, bo nie jest im to potrzebne do szczęścia. Do szczęścia potrzebują Miss Polonia, Gali Piosenki Biesiadnej, seriali, sitcomów i plotek. Nie sądzę, żeby sięgnęli po „Grawitacje” i nie będą nad tym płakać.



Ministerstwo działa na oślep i dziękuję Mu, że się tak szlachetnie pomyliło.

**ZS: Dlaczego młodzi literaci piszą głównie o sobie?**

JF: Nie wiem, skąd ta pewność - dlaczego niby piszą o sobie? Nie wydaje mi się, żeby takie prawo dało się sformułować. Piszą o swoim świecie, a to duża różnica. Często usuwają się przy tym w jego cień albo chwytają się za podwójną ironiczną gardą. Poza tym drugi raz nazywasz mnie „młodym literatem”, a to się staje nieznośne! Ok., jestem „sympatycznym młodym człowiekiem”, ale z drugiej strony Aleksander Wielki, gdy był w moim wieku, właśnie podbił Indie! Poza tym „Grawitacje” przyszły na świat tuż po narodzinach mojej córki. Wzięły się z zamętu w mojej opowieści o świecie i o sobie samym. Są, chyba dość desperacką, próbą zdystansowania się do własnej kondycji, stąd tyle w nich ironii, a nawet agresji, ale są też próbą wyjścia poza ironię, próbą negacji negacji. Mało w nich, jak sądzę, prawdziwego egotyzmu, dużo natomiast różnych póz, w których najlepiej wyraża się moja naturalność.

**ZS: Czy w takim razie uważasz „Grawitacje” za formę autobiografii? Wewnętrzny Führer zwyciężył?**

JF: Nawiązujesz do tego fragmentu, poczekaj, zaraz go znajdę... „We mnie jest taki Führer, który wrzeszczy: - Jeden świat! Jeden Jurek! Jeden utwór! Nienawidzę go, konspiruję przeciw niemu, urządzam zamachy i zabijam go, przejmuję władzę i kończę jego przerwany wół okrzyk... aż ktoś, jakiś inny ja, dotąd zakonspirowany, zajmie moje miejsce...”. Tutaj chodzi o nadzieję, że to, co porozbijane, ułoży się w całość: o nadzieję, z której się natrzęsam, której się z premedytacją wyzbywam, a która i tak powraca w różnych przebraniach. Wykopana drzwiami życia, wraca oknem „Grawitacji” - coś w tym stylu. Przy czym całość nie jest formą autobiografii. Co prawda udział faktów jest duży, przeważający... Powiedziałbym nawet, że fakty mają pakiet strategiczny, czyli ponad połowę akcji, zmyślenie musi się więc dostosować... Niemniej, nie ma tu porządku biografii - przecież to by było strasznie nudne! - jest porządek refleksji, albo nieporządek, nie wiem. Moje pisanie ma charakter eseistyczny, to znaczy cechuje je niegotowość myśli, badanie całości poprzez detale, zgoda na brak ostatecznych rozwiązań. Mój wydawca, Marcin Czerwiński, nazywał tę rzecz uparcie „powieścią”. Ja sam, pytany o to podczas spotkań autorskich we Wrocławiu - zresztą tutaj, w Lokatorze, też - odpowiadam, że książka przynależy do nowego gatunku, zwanego grawitacjami. Innymi słowy, tytułowa metafora nie odsyła tylko do wizji świata, w którym jest dużo różnych pól grawitacyjnych i który poddany jest różnym relatywizmom - to także nazwa samozwrotna. Kolejne rozdziały mają swoje myślowe ośrodki, takie jak nieprzezroczystość języka, zdawkowość relacji międzyludzkich, potrzeba sensu: to takie ośrodki ciężkości, wokół których wirują, wolniej lub szybciej, bardzo różnorodnie okrucy: refleksje, niby-dziennikowe zapisy, anegdoty, wspomnienia, świadectwa lek-tur, fragmenty powieści, fabulacje...

**ZS: Tego ostatniego, to znaczy fikcji powieściowej, nie znajduję zbyt wiele... Następną swoją powieść, „Przymierzalnię”, określasz jako opis bycia sobą, które okazuje się zgrywą. Mamy spodziewać się jakiegoś „odkrycia ludzkiej natury”?**

JF: „Przymierzalnia” jest chronologicznie wcześniejsza: zacząłem ją w 2002 w La Rochelle, nad Atlantykiem, a skończyłem rok później w Turcji i na Bałkanach... Nie będę teraz o niej opowiadał, ale - no właśnie, posłuchaj chociażby tego, co w tej chwili powiedziałem: to sama prawda, a brzmi jak zgrywa, albo jakaś poza. Więc kim jestem: światowcem? podróżnikiem? wakacyjnym pisarzem? zwykłym pozerem? To jedna z nici przewodnich „Przymierzalni”. To też jedno z pytań, do których ciągle wracam, bez względu na to, co myślę o „naturze ludzkiej”...

A myślę o niej albo bardzo źle, albo wcale - w przekonaniu, że nie ma czegoś takiego.

**ZS: Czy literatura może być w ogóle zrozumiała, skoro „wspólny jest tylko bezsensowny, nic nie znaczący, niezrozumiały bełkot”?**

JF: No nie, cytujesz jedno zdanie jak aforyzm, jak jakąś francuską prawdę objawioną, a całą tę książkę określasz mówieniem na wyrost, mówieniem za bardzo, naciąganiem i gra na efekt. Stąd te wszystkie wybujałości stylistyczne, rozmaite przesadnie, przestawne szyki, powtórzenia, neologizmy... Poza tym wszelkie myślenie jest tutaj słabe, jakby warunkowe, sytuacyjne: to zdanie akurat padło *a propos* wizyty na festiwalu literackim w Paryżu, gdzie rzeczywiście nikt z nikim nie mógł się dogadać. Ale równie dobrze wyobrażam sobie taki fragment: „W Lokatorze Pio przepytawał mnie na okoliczność *Grawitacji*. Mówił mądrze i pięknie, i odkryłem, że wspólna nam jest ta sensowna, wszystkoznacząca, rozumiała mowa”.

**ZS: Mam wrażenie, że brzmi to trochę ironicznie... Ale trudno, powiedz, czy to znaczy, że piszesz ciąg dalszy?**

JF: „Grawitacje” są projektem otwartym. Czuję, że trudno mi się będzie od niego odciąć. Poza tym ciąg dalszy wpisany jest w tę książkę - jego załączki można znaleźć w różnych przemilczeniach, zaniechaniach... Ale w tej chwili piszę coś zupełnie innego. Zresztą, przemilczmy resztę, chciałbym być trochę zagadkowy na koniec...

**ZS: Ok., niech ci będzie... Dziękuję za poświęcenie kilku chwil i zdań.**

**\*Jerzy Franczak - ur. 1978 w Krakowie, prozaik i urlopowany poeta. Publikuje głównie w „Twórczości”, „Kresach”, „Fa-arcie” i „Ricie Baum”. Redaguje pismo literacko-artystyczne „Nowy Wiek”. Jest autorem zbiorów wierszy: *Samobstuga* (1997), *Półmrok* (1998), *Języki Lodowca* (2000), *Król Rdzy* (2006), zbiorów opowiadań: *Trzy historie* (2001), *Szmermele* (2004) *Algi, Kalki, Zębatki* (2004), powieści: *Przymierzalnia* (2007).**

www.longital.com > read



## ČO SI MYSLÍME O TOMTO SVETE A ČO SME TU ZAŽILI

Sedíme v Krakove v Lokatore, je po narodeninovom koncerte, pijeme kávu a práve sme sa vrátili z dediny Broskwinia (broskyňa), kde sme si boli zajazdit na koňoch. Kone boli lenivé ako celé popoludnie, ale na statku mali aj párik sviň v ohrádke s malými svinkami, ktoré čo chvíľa vybiehali ku koňom a behali im na lúke pod nohami. Je rok svine.

Témy našich rozhovorov sa tocili okolo niekoľkých tém. Čítali sme nejaké články o tom, kam sa ďalej poberie tento náš hudobný biznis a čo sme sa dozvedeli: ľudia kopírujú hudbu, (čo vieme a sme s tým v podstate zmierení, že za svoju prácu týmto smerom nemôžeme očakávať veľkú výplatu, aj keby sme sa akokoľvek snažili a boj je márný), čo je však nové: ľudia s tým už rátaajú, že nahratá hudba je zadarmo a svoje finančné výdavky smerujú skôr k lístkom na koncerty, kúpe tričiek (zatiaľ sa nedajú kopírovať) a iných drobností, spojených s obľúbenou skupinou a samozrejme investujú do MP3 prehrávačov a mobilných telefónov. Tento trend si všimli už aj veľké vydavateľstvá a začali robiť kroky tým smerom, Kupujú dobre prosperujúce promotérské a merchandisingové firmy, ktoré pre nich budú tieto činnosti zabezpečovať a umelcom začali ponúkať zmluvy, ktoré zahŕmajú tým pádom všetko. To znamená, že si podpisom zmluvy kúpi práva nielen na ich nahrávky, ale aj na všetky verejné vystúpenia, všetky výrobky s ich menom (aj web) a teda aj na ich meno. S Piom, ktorý nám robil obal na CD Výprava, sme sa dohodli, že nám urobí obal aj na DVD Výprava live a preniesieme nejaké koncerty nášho jesenného Slnkofestu aj do Lokatora. Rozpis koncertov Slnkofestu na východe Slovenska nájdete na [www.slnkorecords.sk](http://www.slnkorecords.sk). Ak niekedy pôjdete do Krakova, určite sa zastavte v klube Lokator (Krakowska 27), hrávame tu väčšinu našich koncertov. Z reprákov práve začali hrať The Frames, hral tu už aj Rob Bochnik, gitarista z The Frames a Nina Hynes, ktorá okrem oficiálneho koncertu ešte zahrála s Fabienom aj súkromný koncert v galérii klubu (bývalá kuchyňa) a zostali nakoniec týždeň a nevedeli odísť. Nina bude hrať na Slovensku 5. 10. v Košiciach s nami a 6. 10. v Bratislave na Nu-jazz days.

26. 8. 2007, [shina@longital.com](mailto:shina@longital.com)  
Lokator > Kraków, Krakowska 27  
[www.lokator.pointblue.com.pl](http://www.lokator.pointblue.com.pl)





# HAVEL NA WAWEL

## Zapis fragmentów rozmowy z Vaclawem Havlem\* jaka odbyła się w Krakowie przy okazji promocji książki „Tylko krótko, proszę”

Hendyk Woźniakowski: Witam państwa na spotkaniu organizowanym przez wydawnictwo Znak z serii „Dorwać Mistrza”. Dzisiaj naszym gościem jest pan prezydent Václav Havel a powodem jest wydana właśnie przez wydawnictwo znak książka „Tylko krótko, proszę”. Witam naszych gości, Kazimierza Kutza, także artystę i polityka, Adama Michnika oraz Andrzeja Jagodzińskiego, tłumacza książki.

Václav Havel: Witam, Chciałbym na początku podziękować wydawnictwu Znak i Panu Henrykowi Woźniakowskiemu za wydanie książki oraz za przygotowanie jej promocji w Polsce oraz panu Andrzejowi Jagodzińskiemu za jej przetłumaczenie.

Hendyk Woźniakowski: Czym jest ta wspomiana przez Pana w książce męka prezydentury? Czy jest to alienacja, strata czasu, czy też może kłopoty jakie posiada artysta, intelektualista zajmujący się polityką. Czy możliwe jest pogodzić artystę i polityka w jednej osobie?

VH: Nie wiem czy posiadam prawo nosić tytuł niezależnego intelektualisty, ale wiem że znalazłem się

w funkcji politycznej jako człowiek, który takiej funkcji nigdy do tej pory nie miał. Był to efekt czasów w jakich się znalazłem. Było to oczywiście doświadczenie dla mnie bardzo interesujące, ale z drugiej strony, ze względu na mój charakter bardzo męczące i trudne. Szczególnie męczyła mnie ta odpowiedzialność jaką zostałem obarczony: funkcją prezydencką i wielokrotnie zadawałem sobie pytanie czy dobrze robię robiąc to czy owo. Nie wiem czy to jest typowa cecha intelektualisty, ale ja mam taką cechę, że zawsze, niezależnie co robię, wątpię w siebie. W każdym czynnie, w każdej decyzji przelamywałem w sobie wątpliwości. Może jednak to cośmy robili było ważne, mówię w liczbie mnogiej, bo nie chciałbym sprawiać wrażenia, że to jest tylko moja działalność, wszystko robiliśmy w zespole. Wiedziałem, byłem przekonany, że powinienem zdać jakieś sprawozdanie z czasów, kiedy poruszałem się w wielkiej polityce. Było dla mnie jasne, że nie będę miał ani ochoty, ani siły do pisania pamiętników, jakie piszą poważni politycy z czasów swojej prezydentury i tak oto powstała ta książka, która mnie samemu przyniosła wiele zaskoczeń. Jednym z takich zaskoczeń było stwierdzenie, że nawet jeśli już nie

pełnię swojej funkcji, w dalszym ciągu podlegam rygorom dyplomatycznym i muszę stosować pewien rodzaj autocenzury. Jak wiele osób w podobnych sytuacjach myślałem, że jak skończę tę funkcję będę wolny jak ptak.

HW: Jeszcze przez chwilę chciałbym zatrzymać się przy tym temacie artysta, intelektualista, polityk. Panowie również mają doświadczenie polityczne. W twórczości Václava Havla, w jego sformułowaniach, jakie weszły do potocznego języka „siła bezsilnych”, „niepolityczna polityka”, ale także „bycie w prawdzie” było bardzo istotną zasadą i wymogiem na co dzień, a jak wiadomo polityka z prawdą nie zawsze idzie w parze. Jak to wygląda z waszego doświadczenia, czy da się dotrzymać wierność prawdzie i zarazem być skutecznym politykiem?

Adam Michnik: Pamiętam jak w 1999 roku na konferencji w Pradze, Vášek wtedy jeszcze był prezydentem, przy stole siedział jeszcze Viktor Orban, premier Węgier, kanclerz Austrii oraz Ja. Ten temat był rozważany i ja wtedy zaryzykowałem opinię, że Václav Havel, to ten typ polityka, który z tym pytaniem o prawdę, o wartości moralne zmagają się stale. Mnie się wydaje, że tutaj jest klucz do odpowiedzi na to pytanie. Są politycy, którzy mają z tym problem, i są politycy, którzy nie mają z tym w ogóle problemu. W tej chwili w Polsce mamy takiego polityka, który o sobie mówi, że jest esencją dobra, samo dobro, który definiuje politykę polską tak, że po jednej stronie są sprawiedliwi po drugiej czarne charaktery. Oczywiście znamy się i przyjaźnimy się z Váškiem od trzydziestu lat i ja nie zauważam w tej książce innego Váška niż ten, którego poznałem jak był kryminalistą. Jedne co mnie w tej książce wzrusza, to pewien rodzaj pedanterii.





Pamiętam to pierwsze spotkanie na Śnieżce, byłem wtedy Ja, Jacek Kuroń, Janek Lityński, i tu niestety muszę złożyć publiczny donos, był również z nami Antoni Macierewicz. Ze strony przedstawicieli Czechosłowacji był Vášek, Marta Kubiszowa i tam właśnie dość szybko ustaliliśmy, co zajęło nam niecałą godzinę, że trzeba obalić komunizm. I nagle się okazało czym różni się kultura czeska od kultury polskiej. Myśmy nie mieli nic. Gdy już zgodnie ustaliliśmy, że komunizm obalamy Vášek wziął plecak, wyjął kielbasę, chleb, ser i wódkę, która się nazywa MYSLIVECKA. Na obwołucie jest taki myśliwy z piórkami. Vášek postawił wódkę na stole i powiedział „Jak nie mamy socjalizmu z ludzką twarzą, będziemy mieli wódkę z ludzką twarzą”. Jak bym miał najkrócej scharakteryzować politykę Václava Havla, to powiedziałbym, że jest to polityka z ludzką twarzą.

**HW: Czy jest jakaś rzeczywista relacja aspektu polityki i dramaturgii artystycznej? Czy jest jakiś związek pomiędzy sceną teatru a sceną polityki?**

VH: Ja myślę, że polityka w sposób oczywisty ma swoją dramaturgię teatralną. Jest pytanie tylko czy to będzie dobre, czy złe przedstawienie. Czy to będzie opera, operetka czy sztuka dramatyczna.

AM: Po polsku to się nazywa Kabaret.

VH: Oprócz tego tak, jak mówi Arystoteles: to, co następne powinno wynikać z poprzedniego. W tej książce zresztą często przytaczam porównania z teatrem. Może jednak powinienem powiedzieć o czymś z czym to wszystko się wiąże. Adam mówił że jestem pedantem. I mam wrażenie, że zostałem prezydentem tylko dzięki swojej pedanterii. Gdy toczyliśmy nieustające, długotrwałe debaty w kręgach dysydenckich, ja to z trudem znosiłem i kończyło się to najczęściej tak, że pisałem jakiś tekst, który wygłaszałem, oni się z tym zgadzali i mogliśmy się rozjeść. Gdy następował kryzys w dyskusji, wtedy bezpośrednio się do mnie zwracano: „idź Vášek coś napisz do sąsiedniego pokoju, wróć i przeczytaj. W ten sposób znalazłem się na czele, w jakiejś pierwszej linii w ogóle się o to nie starając. Ja nigdy w życiu nie chciałem być przewodniczącym czegoś a byłem przewodniczącym wielu, wielu organizacji, na szczęście często tylko honorowym.

**HW: Jaką rolę kontakty między politykami odgrywają we współczesnej polityce?**

VH: Wydaje mi się, że ma to często dużo większe znaczenie niż ludzie myślą. Byłem wielokrotnie świadkiem tego, że jeśli dwaj przywódcy danyh krajów osobiście się zakolegują, to natychmiast znajduje to odbicie w stosunkach między tymi krajami. Wspominam na przykład jak premier Węgier, który mówił bardzo dobrze po niemiecku doprowadził do tego, że stosunki Węgier z Niemcami były bardzo dobre. Gdyż z kancle-

rzem Kohlem potrafił mówić po niemiecku a nawet żartować w tym języku. Takie osobiste stosunki z jednej strony dają pewną nadzieję, są taką ludzką cechą, ale z drugiej strony może to również być niebezpieczne. W dawnych wiekach wystarczyło, że jeden król nie podobał się drugiemu i wybuchala wojna.

**HW: Czy to grozi nadmierną personalizacją, jeśli wchodzi się w takie osobiste związki?**

AM: Ja się w ogóle zastanawiam czy powinienem się tutaj odzywać, każde twoje pytanie prowokuje mnie tutaj do złych skojarzeń. Co ja mogę dzisiaj powiedzieć? Trzy razy: Jarosław Kaczyński, Jarosław Kaczyński, Jarosław Kaczyński. Wystarczy spojrzeć na to, co się dzieje w relacjach polsko-niemieckich. Wyraźnie widać gołym okiem, że mamy do czynienia z dramatycznym zepsuciem się tych stosunków z powodów całkowicie drugorzędnych. Naturalną rzeczą powinno być szukanie kompromisu, próby łagodzenia a można zaobserwować permanentną politykę nieufności i kompleksu własnej niższości, na które się odpowiada napięciem mięśni, których się nie posiada. Z tego punktu widzenia patrząc na książkę pana prezydenta Havla widać, że również stosunki czesko-niemieckie nie były stosunkami łatwymi, ale jednocześnie widać wysiłek wyszukiwania po stronie niemieckiej przyjaciół. To, co pisze Havel, to zachowanie równowagi pomiędzy tą „polityką z ludzką twarzą” a jednocześnie twardą obroną zasad.

Kazimierz Kutz: Václav Havel jak i Adam Michnik są zasłużonymi więźniami politycznymi. Różnica dziś jest jedynie taka, że pan prezydent nie będzie już więcej siedział a Adam ciągle może. Nie chcę powiedzieć, że się specjalnie o to stara, no ale on już jest w takim wieku, że się go już nie zmieni. Ta wielkość pana prezydenta polega na tym, że to co jest w tej książce, to nie tylko to, co napisał, ale również taki właśnie był. Jest to piękny obraz, wzór polityki przyszłości.

**HW: Jest w książce mowa o kontaktach z wielkimi mocarstwami Rosją, Stanami Zjednoczonymi. Jaka jest rola małych i średnich krajów w kontaktach międzynarodowych? O co powinny takie kraje zabiegać w dzisiejszej polityce?**

VH: Nieważne jest czy jesteśmy mali czy wielcy, wydaje mi się, że ważne jest dzisiaj to, czego chcemy, jak ten świat powinien dzisiaj wyglądać, co zrobić, aby ten świat był lepszy. Wydaje mi się, że najgroźniejszą rzeczą może być każda forma fanatyzmu. To opętanie może być niebezpieczne kiedy zwycięży w wielkim kraju, ale również niebezpieczne jak zwycięży w małym kraju, wspomnijmy tylko Bośnię i Hercegowinę. Ważne jest, aby myśleć o świecie jako jednej całości i to, co się robi dla świata robi się też dla siebie. W polityce czeskiej funkcjonuje takie pojęcie jak interes narodowy. Ja nigdy

nie rozumiałem do końca, co to znaczy, ale brzmi to dla mnie trochę podejrzanie. Ponieważ gdzieś to ma pod spodem przypuszczenie, że nasze interesy są inne niż interesy reszty świata.

**HW: Zastanawiam się czy ta książka nie jest pewnym rodzajem podsumowania, uporządkowania przeszłych czasów? Jaki miał pan cel pisząc tę książkę?**

VH: Tak, ta książka ma pewien aspekt bilansowania, podsumowania, ale to nie jest wszystko. Miałem jeszcze w planie napisać jedną sztukę teatralną, niedawno ją skończyłem, nosi tytuł „Odchodząc”. Ma też taki troszeczkę charakter zamykający pewien etap. Chciałem pozostawić po sobie porządek. Nie mogłem sobie wyobrazić, że jeśli kiedykolwiek bym odszedł, został by po mnie chaos, nieporządek. Myśl o tym była dla mnie nie do zniesienia tym bardziej, że nie miałbym już możliwości powrotu.

**HW: Z racji, że to spotkanie toczy się w cyklu spotkań „Dorwać Mistrza” chciałem zapytać: kim są pańscy mistrzowie?**

VH: Ale tak ogólnie?

**HW: W polityce, w życiu, w literaturze...**

VH: Było by mi ciężko na to pytanie odpowiedzieć, ale byłaby to bardzo barwna paleta ludzi od Gandhiego po Franza Kafkę.

**HW: Dziękuję bardzo za spotkanie.**

**Spotkanie tłumaczył Andrzej Jagodziński.  
Spisał i zredagował Stanisław Kot.  
WYWIAD NIEAUTORYZOWANY  
Kraków 3.09.2007**

**\*Havel Václav , ur. 5 X 1936, Praga, czeski polityk, dramaturg i eseista; Uczestnik praskiej wiosny. Współzałożyciel Karty 77; Więziony za działalność opozycyjną, jego twórczość po 1968 objęto zakazem publikowania bądź wystawiania w teatrach. 1989 wybrany na prezydenta Czechosłowacji, po rozpadzie państwa 1993–2003 prezydent Czech; Dramaty Powiadomienie (1965, wyd. pol. w „Dialogu” 1966 nr 10), Puzuk, czyli Uporczywa niemożność koncentracji (1968), Largo desolato (1984, wyd. pol. poza cenzurą 1987), Kuszenie (1986, wyd. pol. poza cenzurą 1987), Rewaloryzacja (1987, wyd. pol. w „Literaturze na Świecie” 1989, nr 8–9), jednoaktówki: Audiencja (1975, wyd. pol. poza cenzurą 1981), Wernisaz (1975, wyd. pol. poza cenzurą 1981), Protest (1976, wyd. pol. poza cenzurą 1981), eseje, m.in. Siła bezsilnych (1978, wyd. pol. poza cenzurą w: Eseje polityczne 1984), Listy do Olgi (1985); 1994 odznaczony Orderem Orła Białego.**

## LISTY Z AMSTERDAMU

# Przygody, tułaczka i światowe życie duchowego wiwisektora - Juffertje van Neus(talgie)

Dlaczego wszyscy są tu jacyś tacy smutni? - zapytał mnie ostatnio pewien Holender podczas wizyty w Krakowie. Pytanie zadane było półgębkiem, a jednak wypowiedziane zostało i domagało się odpowiedzi. Lecz cóż, by poważnie podejść do rzeczy, wiele trzeba by opowiadać, a to że historia, że romantyzm, że polityka - co tu dużo mówić, nie chciało mi się o tym w środku lata, a samo pytanie dość powierzchowne nie oczekiwało jakiejś wnikliwości. Nie jesteśmy zbyt wylewni (bez kieliszka), to prawda, ale też nie widzę powodu by wylewać swoje emocje na przypadkowo spotkanych

ludzi, a sztuczna wesołość nie jest nam z kolei wrodzona. Ja sama w taki deseń jestem przystrojona i wcale nie chce mi się przebieierać. Na pytanie odpowiedziałam więc zgodnie z wrodzonym mi duchem przekory i niby to od niechcenia; że zapewne wynika to z faktu, iż nie ulegamy (w przeciwieństwie do nich) niepotrzebnemu rozprężeniu i trzymamy fason. Holenderska swoboda bywa natomiast często niestrawna. Ja nadal nie mogę przełknąć widoku na-gminnego dłubania w zębach wykałaczką po skończonym posiłku. I to nie tylko brak odruchów kultury osobistej bywa proble-

mem, rzekłam mimochodem, gdy tamten ostentacyjnie dłubał, lecz brak zainteresowania kulturą w ogóle; ta daleko oddaliła się od holenderskiej codzienności. Co z tego, że mają takich malarzy, jak poza wąskim gronem specjalistów i jeszcze węższym gronem entuzjastów nikt nie ma dla nich czasu. Mało kto orientuje się też kim był Fellini czy Dostojewski i to zapewne dlatego tak im wesoło. Kolega stwierdził, że tego już nadto, on czuje się obrażony i nie zamieni ze mną słowa do końca wieczoru. A ja macham do was rączką z tej wesołości.



# EGON BONDY: papież czeskiego undergroundu

**Zapis rozmowy Igora Kędzierskiego z filozofem z Olomuńca, Martinem Jabůrkem, która została przeprowadzona 23 kwietnia 2007 roku w klubie Lokator w ramach Czeskich rozmów**

Igor Kędzierski (IK): Jak zaszeregowalbyś filozofię Zbyńka Fišera na mapie czeskiej filozofii XX wieku?

Martin Jabůrek (MJ): To pytanie zasadnicze, pozycja Zbyńka Fišera na mapie czeskiej filozofii czy też ogólnie na mapie filozofii XX wieku była szczególna, ponieważ przez cały czas swojej pracy filozoficznej pozostawał absolutnym samotnikiem. Jego główne dzieło filozoficzne jest oryginalnym wkładem w dorobek filozofii i choć oczywiście dałoby się mówić o pewnych punktach wyjścia, o określonym kontekście i podobieństwach, to jednak jest to dzieło naprawdę oryginalne, przynajmniej w dziedzinie ontologicznej płaszczyzny jego myślenia. Dużo mniej ciekawe i odkrywcze są natomiast jego prace z lat 90., kiedy poświęcał swoją uwagę głównie problemom globalizacji, które poruszał na przykład w swoich tzw. cyberkomiksach... Gdybym jednak miał spróbować powiedzieć coś o kontekście jego filozofii, to rozwijana przezeń ontologia ma wiele wspólnego na przykład z filozofią Martina Heideggera, znalazłyby się również powiązania z egzystencjalizmem, chociaż trudno byłoby powiedzieć, że filozofia Zbyńka Fišera to heideggeryzm czy egzystencjalizm. Podobnie można mówić o wpływach filozofii Wschodu, zwłaszcza taoizmu, który niewątpliwie silnie oddziałał na myślenie Zbyńka Fišera. Ale, jak jeszcze zobaczymy, dla jego ontologii radykalne jest odejście od całej dotychczasowej tradycji filozoficznej, co oczywiście mówi o sobie niemal każdy filozof XX wieku...

IK: Może opowiesz nam teraz coś o filozofii Zbyńka Fišera?

MJ: Chciałbym skupić się na jednej, najważniejszej książce filozoficznej Zbyńka Fišera, a mianowicie na dziele, które nosi tytuł *O pocieszeniu, jakie daje ontologia*. Podtytuł: *Substancjalny i niesubstancjalny model w ontologii*. Oczywiście nie zdołam w czasie naszej rozmowy wyczerpać zawartości tej książki i poruszyć wszystkich istotnych szczegółów, spróbuję raczej stworzyć bardzo podstawowy zarys myślenia filozoficznego Fišera i pokazać praktyczne konsekwencje tego myślenia. Dlaczego zatem „pociecha” i dlaczego „ontologia”? Jeśli ktoś z państwa ma elementarne wykształcenie filozoficzne, to z całą pewnością od razu przypomni mu się tekst późnoantycznego filozofa Boecjusza, który napisał książkę pod tytułem „O pocieszeniu, jakie daje filozofia”, być może wiedzą też państwo, że Boecjusz pisał swoją książkę w więzieniu, oczekując na swoją egzekucję i że to właśnie filozofia, a nie religia, choć sam był chrześcijaninem, dawała mu w tym więzieniu i cierpieniach pocieszenie. Podobnie dla Fišera ontologia, jako ta najbardziej podstawowa nauka filozoficzna, jest pocieszeniem dla człowieka. Fišer oczywiście nigdy do więzienia nie trafił, chociaż nie, teraz sobie przypomniałem, że jednak trafił, ale wówczas nie był jeszcze filozofem, w każdym razie cierpienie, udręka ma dla niego zasadnicze znaczenie, i nie chodzi tu jedynie o cierpienie związane z pobytem w więzieniu i oczekiwaniem na śmierć. Stosunek Fišera do bólu

wskazuje na związki jego filozofii z buddyzmem, w którym podstawową ideą czy celem jest poradzenie sobie z cierpieniem, którego źródłem jest samo życie. Fišer szuka zatem pocieszenia, które spodziewa się znaleźć w odpowiedzi na pytanie: po co żyć? Po co pracować? Dlaczego raczej być niż nie być? Dlaczego nie popełnić samobójstwa? W tym momencie chciałbym zwrócić uwagę na związek z myśleniem zachodnioeuropejskim, ponieważ podobne pytania stanowią punkt wyjścia Alberta Camusa. Fišer wszakże nie odnajduje pocieszenia w akceptacji absurdu, w nihilizmie, lecz w myśleniu ontologicznym, w usiłowaniu znalezienia odpowiedzi na pytanie o bycie. No i widzą państwo jak to z tą filozofią jest, mówimy już całkiem długo, a jak dotąd przerobiliśmy jedynie tytuł tej książki... (śmiech). Dobrze, czas na podtytuł. Fišer w swojej książce pisze, że filozofia jest niekończącą się przygodą. Niezwykle istotne dla zrozumienia tego stwierdzenia jest wyjaśnienie zawartego w podtytule rozróżnienia na substancjalny i niesubstancjalny model filozofii. Niesubstancjalny model jest tym, który buduje i rozwija on sam, substancjalny zaś charakteryzuje praktycznie całą dotychczasową tradycję filozoficzną, z którą Fišer próbuje się porachować. Na czym polega problematyczność pojęcia substancji dla Bondego? Powiedzieliśmy już sobie, że szuka przede wszystkim pocieszenia, odpowiedzi na pytanie o sens życia. Zauważa, że większość dotychczasowych systemów filozoficznych próbujących poradzić sobie z tym pytaniem kończy zwykle na pojęciu substancji, a tego właśnie Fišer chciałby uniknąć. Substancja to pojęcie wywodzące się z filozofii arystotelejskiej, gdzie jest jeszcze nazywana terminem ousia. Przez pojęcie substancji rozumiano coś niezmiennego, niezmienną zasadę, która leży u podstaw rzeczy, a tym samym u podstaw każdego myślenia. Zdaniem Fišera substancją jest również, prócz wspomnianego znaczenia arystotelejskiego, Bóg w chrześcijaństwie czy materia w światopoglądzie marksistowskim, w materializmie. W swojej krytyce substancji Fišer nie jest wcale oryginalny, krytykował ją już wcześniej wiele kierunków filozoficznych, strukturalizm, procesualizm Whiteheada czy teologia dynamiczna. Odkrywczość Fišera polega jednak na tym, że zastępuje pojęcie substancji... niczym. Nic uważa zaś za równoważne z pustką, ponieważ pustka nie jest w niczym zakotwiczona, na niczym się nie opiera i nie wymaga dalszego uzasadnienia. Pustka istnieje sama przez się. I to właśnie ta pustka, ujmowana zamiennie z wolnością, staje się punktem wyjścia jego filozofii. Z tej perspektywy wydaje się zrozumiałe, że filozofia Fišera, kładąca tak duży nacisk na wolność, znalazła uznanie w kręgach czeskiego undergroundu, gdzie wprawdzie każdy rozumiał tę wolność inaczej, niemniej jednak wszyscy zgadzali się, że to właśnie ona ich łączy. Chociaż szczerze wątpię, czy słuchacze Plastic People of The Universe czytali kiedykolwiek teksty filozoficzne Zbyńka Fišera (śmiech). Wróćmy do wolności – jest ona nie tylko pustką, ale zarazem radykalną możliwością. I dlatego – paradoksalnie – pojęcie pustki jest synonimiczne z pojęciem pełni, ponieważ pustka, wolność, oznacza pełnię możliwości. Właśnie dlatego pustka może być ontologicznym fundamentem, umożliwia bowiem zaistnienie wszystkiego, nie ogranicza repertuaru potencjalnych bytów indywidualnych. Ciekawe jest, że Fišer odrzuca możliwość sytuacji, w której powstanie bytów byłoby czymś zapoczątkowane, spowodowane. Tu natrafiamy na kolejne ciekawe pojęcie jego ontologii: samopowstanie, w taki bowiem sposób – automatyczny – rodzi się całość bytów. Pustka bowiem zakłada swoje zaprzeczenie, tedy bycie, i z tego przedzałożenia rozwija się w sposób konieczny wielość bytów. Oczywiście filozofia Fišera jest radykalnie ateistyczna, nie ma w niej miejsca na Stwórcę czy Boga, który byłby sprawcą powstania bytów i świata, ponieważ Bóg jest substancją. Cóż, trochę się nam to



rozrosło w wykład, a proszę mi wierzyć, że to dopiero początek (śmiech). Trudno, na zakończenie tych skąpych uwag o filozofii Zbyňka Fišera przeczytam państwu sam początek wspomnianej książki: *kiedy chce człowiek zacząć coś pisać, wówczas wszystkie myśli się przed nim od razu chowają i tylko spod stołu, krzesła czy z góry, z szafy, pokazują mu długi nos...*

**IK: Może teraz porozmawiamy o literaturze. Czym jest realizm totalny, poetyka, za której tworzyć uważał siebie Bondy i która zrobiła tak ogromne wrażenie na przykład na Bohumilu Hrabalu?**

MJ: Totalny realizm Bondego (tak samo jak poezja żenująca Vodsed'álka), który miał być rewolucją estetyczną i po części nią był, reagował przede wszystkim na założenia surrealizmu, który w latach 30. i 40. był głównym nurtem w czeskiej poezji. Zarazem reakcją na marazm społeczeństwa socjalistycznego i agresywność propagandy komunistycznej końca lat 40. i początku 50. Poetyka surrealizmu przestaje Bondemu wystarczać, poezją jego zdaniem ma stać się sama rzeczywistość, chodzi tu o bardzo prosty, prawie niepoetycki, zapis zewnętrznego świata i własnego doświadczenia, najlepiej byłoby zilustrować to na jakimś konkretnym tekście Bondego z tego okresu. W totalnym realizmie mieszają się ze sobą urywki z gazet i osobiste, konkretne doświadczenie. Na przykład jeden ze sztandarowych wierszy totalnego realizmu kończy się opisem stosunku seksualnego.

**IK: Skoro już jesteśmy przy stosunkach... jaki był stosunek Bondego do komunizmu? Zwykł przecieć całe życie mawiać, że jest marksistą lewym...**

MJ: Faktycznie, Bondy już od wczesnej młodości był zdeklarowanym marksistą, mimo że pochodził z bardzo dobrze sytuowanej praskiej rodziny, jego ojciec był przed wojną generałem armii czechosłowackiej. Niemniej fascynacja komunizmem i zapatrzenie w Związek Radziecki było typowe dla wielu ówczesnych intelektualistów czeskich, wiązało się to z 1945 rokiem, z wyzwoleniem spod niemieckiej okupacji. Bondy uważał się za marksistę mniej więcej do 1948 roku, czyli dokładnie do momentu przewrotu komunistycznego. Główną przyczyną odrzucenia komunizmu był proces Závīša Kalandry, wybitnego czeskiego intelektualisty o lewicowych poglądach, który – z powodu otwartego mówienia o procesach moskiewskich – został skazany w pokazowym procesie na karę śmierci pod absurdalnym zarzutem trockizmu. Myślę, że wstrząs, jakim było zamordowanie Kalandry, bliskiego znajomego Bondego, sprawił, że zaczął sam siebie nazywać trockistą, choć w owym czasie nie wiedział zapewne, co ten termin oznacza, zresztą, nie wiedzieli tego nawet sędziowie, którzy Kalandrę skazali... Kolejnym krokiem Bondego, będącym następstwem tego pierwszego, jest przejście do opozycji wobec komunizmu i stworzenie czegoś, co dziś nazywa się wczesnym undergroundem. Oznaczało to życie nieskrępowane konwenansami, życie bohemy artystycznej, która brzydziła się purystyczną i zakłamaną moralnością społeczeństwa socjalistycznego. Ale proszę nie mylić tego z jakąś wyraźną antykomunistyczną postawą czy opozycją, nie, underground Bondego, już wtedy i aż do samego końca, polegał głównie na picciu, na rezygnacji z jakiegokolwiek polityki, oczywiście krytykował socjalizm i jego przywódców, ale na tym się kończyło, ten underground i lata 50. to był po prostu niekończący się melanz, niekończące się pijaństwo...

**IK: Powiada się, że Bondy był papieżem czeskiego undergroundu, że popełnił nawet książkę, która uznana została za biblię czeskiego undergroundu, czyli powieść *Rodzeństwo inwalidów*. Na czym polegała zatem jego rola, czy faktycznie był tak wpływowym autorytetem?**

MJ: Cóż, muszę przyznać, że słyszę określenie papież czeskiego undergroundu po raz pierwszy od ciebie (śmiech). Myślę, że jeśli Bondy w ogóle sprawował jakąś funkcję, to była to rola błazna czeskiego undergroundu... (śmiech), choć oczywiście nie da się ukryć, że miał ogromny wpływ na kilka pokoleń młodych ludzi w Czechosłowacji, którzy mieli szansę zapoznać się z jego dziełem, co nie było wcale oczywiste. Pytałem o *Rodzeństwo inwalidów*, ta książka miała faktycznie ogromne znaczenie, nie wiem, czy biblia to trafne określenie, ale z całą pewnością dla kolejnych młodych pokoleń była i jest instrukcją obsługi życia, swego rodzaju zbiorem wskazówek jak żyć, jaki mieć styl życia. Należy wiedzieć, że Bondy, który był przecieć podziemnym i prawie nieczytanym poetą, stał się tak naprawdę wpływową postacią za sprawą zespołu Plastic People of The Underground, który nagrał płytę z utworami na podstawie jego poezji, Egon Bondys Happy Hearts Club Banned. To właśnie dzięki ich muzyce poezja i postać Bondego stała się kultowa dla ówczesnej młodzieży.

**IK: Co zawierała ta instrukcja obsługi życia?**

MJ: Zaczę ab ovo, od podtytułu (śmiech). Bondy przez ponad czterdzieści lat otrzymywał rentę inwalidzką, choć na dobrą sprawę to nikt nie wiedział, co mu dolega, to był po prostu jego patent na życie, który propagował i zalecał innym, nie pracować, bo praca ogłupia, wykombinować sobie jakąś rentę czy zasiłek, mieć państwo i tzw. masy w dupie i zwyczajnie żyć sobie tak, jak się chce, będąc możliwie jak najbardziej wolnym... miałem już na końcu języka „i nic nie robić”, ale to byłaby nieprawda, Bondy jak na „rencistę” i „inwalidę” pracował bardzo dużo, napisał przecieć 40 tomików poezji, kilka powieści, kilka książek filozoficznych, dramaty! Ale ten hardcore, to zdrowe jądro czeskiego undergroundu, ci nie robili już naprawdę nic (śmiech).

**IK: Pamiętam, że w *Rodzeństwie inwalidów* Bondy napisał, iż intelektualiści powinni się wreszcie pogodzić z faktem, że są społeczeństwu niepotrzebni i że nie mają w związku z tym żadnej misji do spełnienia, czy to politycznej, czy eschatologicznej, społeczeństwo zadawała się bełkotem inteligencji technicznej, a intelektualiści, humaniści nie mają już głosu, dlatego powinni zakarbować sobie raz na zawsze, że w całej historii myśli politycznej, jaką rozwijali rzekomo w celu poprawy społeczeństwa, tak naprawdę zawsze chodziło o nich samych. Czy ten apel Bondego znalazł jakiś oddźwięk? Czy znajduje go jeszcze dzisiaj?**

MJ: Faktycznie, Bondy w rzeczy samej zrezygnował z jakiegokolwiek misji, był całkowicie pochłonięty czytaniem, badaniami naukowymi, pisaniem, nie brał udziału w życiu publicznym... ale myślę, że nawet jeśli tego nie chciał, to jednak wykonywał swoją misję, misję bycia intelektualistą, który oddziałuje na masy długowłosych (śmiech)...

**IK: Czy jego pomysły na życie nadal spotykają się w dzisiejszych Czechach z odzewem?**

MJ: No, teraz jest martwy, ale pozostaje faktem, że do końca swojego życia taki guru był, na przykład dla anarchistów, którzy jeździli za nim do Bratysławy, dla antyglobalistów, dla młodych, debiutujących poetów, którzy aż do końca nosili mu swoje wiersze, aby je ocenili, on zaś chętnie z nimi rozmawiał i otwarcie dzielił się z nimi swoimi poglądami.

**IK: Jaka była twoja droga do Bondego?**

MJ: Myślę, że taka jak w przypadku większości moich rówieśników, usłyszałem Plastic People of The Universe i nie miałem pojęcia, kto jest autorem ich tek-

stów, które bardzo mi się podobały. Dużo później zetknąłem się z jego pracami poświęconymi filozofii. A dopiero niedawno przeczytałem jego prozę.

**IK: Czy Bondy, zanim zmarł, istniał jakoś w świadomości społecznej Czechów? Teraz po śmierci jego nazwisko jest wszędzie, ale jak było wcześniej?**

MJ: Bondy był postacią bardzo kontrowersyjną, wręcz skandalizującą. Niemniej prawie każdy, kto zajmuje się czeską literaturą czy filozofią o Bondym musiał prędzej czy później usłyszeć, to jest w Czechach powszechnie znane nazwisko, nie tylko w tym środowisku. Ale są ludzie, którzy o nim nie słyszeli. Na przykład jedna z moich znajomych, z którą spotkałem się zanim wyjechałem do Krakowa, kompletnie nic nie wie o Egonie Bondym, choć słucha piosenek The Plastic People of The Universe i nawet je sobie nuci (śmiech)...

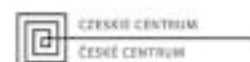
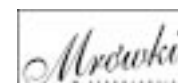


Martin Jaburek



Igor Kędziński

Foto: Piotr Kalinski. Klub Lokator, kwiecień 2007.



# List do Eгона Bondy'ego

Jana Krejcarova\*

Nawet nie wiesz, jak jestem dumna (zawsze miałam do tego skłonności, o czym ci zapewne wiadomo), nawet sobie nie potrafisz wyobrazić, jak strasznie jestem dumna z tego, że Cię mam, że mnie kochasz (a przynajmniej wydaje mi się, że mnie kochasz), z tego, że ja Kocham Ciebie, z tego, jaki jesteś i kim jesteś. Mówię to wszystko bardzo poważnie Zbyńku, poważniej, niż sobie możesz wyobrazić. Nie skłamałabym mówiąc, że Cię szanuję, ale tu chodzi o coś więcej niż szacunek. Chodzi o pewność co do Twojej niepowtarzalnej wyjątkowości. To z niej wyrasta moja duma. Nie podziwiam Twojego intelektu, traktuję go jako oczywistość, to jest normalne. Tym, co mnie podnieca niemal fizycznie, jest fantastyczne połączenie intelektu z całkowicie nieobliczalną logiką, owa irracjonalna filozofia poezji, poetycka filozofia, o której dziś trochę rozmawialiśmy, a która w swych konsekwencjach wykracza daleko poza to, o czym była mowa. Nie jest tak, że istnieją obok siebie dwie rzeczy – filozofia i poezja – jest tak, że z ich połączenia powstaje coś trzeciego, coś, czego znaczenia dziś chyba nawet nie sposób przewidzieć. Nie ma nic gorszego niż lęk, jaki odczuwasz przed szarlatanerią, choć z drugiej strony jest on całkowicie zrozumiały. Bierze się z uprzedzenia, wedle którego filozofia to rozwodnione efekty pilnych studiów a poezja to patriotyczna orka na ojcowiznie. Ani jedno ani drugie nie jest prawdą. Uczona filozofia jest dobra dla akademii i sterylnych mózgów ludzi, którzy szukają w niej usprawiedliwienia dla własnej małości. A pracowita poezja to przepocone brednie, które nadają się co najwyżej do szkolnych czytańek, przepocone brednie dla niewyżytych nauczycielek zakładawych, które osładzają sobie nimi swoją niedołę.

Jestem w stanie zrozumieć, że niełatwo pozbyć się tych przesądów, mimo to chętnie bym Ci powiedziała, żebyś się ich pozbył, bo staną się kulą, która przykuje Cię do galer służebności, bo sprawią, że staniesz się zależny od rzeczy, które ani z poezją, ani z filozofią nie powinny mieć nic wspólnego. Od tych przesądów jest już tylko krok do poglądu, że filozofia ma komuś służyć a poezja umilać czas, do potwornej sytuacji, gdy obie te rzeczy tracą sens, jaki się w nich immanentnie zawiera, gdy zaczyna im się przypisywać tysiące innych sensów, gdy infekują się ową służebnością, o której mówię, a która jest zarazą tego stulecia i chyba tak samo wielu poprzednich epok. Zainfekują się do tego stopnia, że w konsekwencji tracą w ogóle jakikolwiek sens. Diabli wiedzą, dlaczego większość ludzi zajmujących się produkcją poezji wyobraża sobie, że poezja powinna być komuś do czegoś przydatna, dlaczego wreszcie kończą tak marnie, że zaczynają pisać dla ludzi, z którymi nie mają nic wspólnego, z którymi za otrzymane honorarium nie wypiliby nawet kieliszka wódki, którym jednak chcą za wszelką cenę schlebiać swoimi utworami. Z powodu tego stanu rzeczy brzydzą się poezją ci wszyscy, którym ona schlebia z natarczywością godną lepszej sprawy, którym się tłucze do głowy, że poezja pisana przez kogoś, z kim nie wytrzymałby przy stole nawet pół godziny, dostarczy im niezapomnianych wrażeń i doskonale wygotowanego destylatu, jakim jest szczęście rozrywki kulturalnej.

Z filozofią jest jeszcze gorzej, bo o ile z poezji robi się w ten sposób pokojówkę, o tyle filozofia zamienia się w sproletaryzowaną dziewczynkę z dobrego domu, która, choć się kompletnie do tego nie nadaje, zostaje sprzątaczką, otrzymując w zamian wysokie kwalifikacje kadrowe.

Z jednej strony wymaga się od niej, by była tak niestrawna i rozwodniona, żeby porządny człowiek nie był w stanie jej skonsumować bez poczucia zażenowania. Taka filozofia może być ekscytująca co najwyżej dla profesora akademickiego, który musi udowodnić, że pieniądze wydane na jego wykształcenie nie poszły na marne. A szczególnie lubują się w tym chłopcy z biednych rodzin, którzy zaszli wysoko dzięki swojej ciężkiej pracy - zalutuje to cklivymi marzeniami matek, które zarabiają na studia uzdolnionych synalków praniem żołnierskich kałesonów. Z drugiej strony żąda się od niej, by dźwigała cały ciężar ludzkiej małoduszności, wznosi się na niej instytucje państwowe i traktuje się ją jak szcztokę do czyszczenia latryn, ma uzasadniać zamknięcie ministrów i deficyt masła, i ma to uzasadniać ludziom, którzy nie są w stanie (ani nie mają ochoty) zrozumieć żadnego z jej postulatów. Nie są w stanie, ponieważ brak im odpowiedniego wykształcenia. To błędne koło, z którego bierze się jeszcze cała masa innych okropieństw, na przykład arogancja i poczucie wyższości tych, którym się mylnie wydaje, że cokolwiek zrozumieli. Każdy przeciętny głupek, który jedynie zbiegiem okoliczności nie jest etatowym księgowym i który nie księguje ku czci i chwale socjalizmu tylko dlatego, że ma jeszcze jakieś resztki zwojów mózgowych, których starczy akurat na to, by wypchać tę wielce szanowaną głowę kupą wiadomości, częściowo zbędnych a częściowo dla dotychczasowej głowy bezużytecznych – każdy taki głupek jest przekonany, że jego świętą misją jest pokierowanie losem świata i że to byłby dopiero „świat jak się patrzy”, dajcie mu tylko do ręki kilka kilogramów filozofii i zobaczycie, co on wam z tego świata zrobi!

Na szczęście Bóg jest potężny a filozofia ma zła metrykę, chociaż i tak narobiono już wiele szkód. Prawda jest taka, że każdy postulat filozofii ma sens immanentny a każda poetycka definicja jest jako taka wartością, do której nie trzeba sztucznie dorabiać żadnej celowości. Zbliżam się wreszcie do tego, co chciałam powiedzieć - że prawdziwą szarlatanerią jest nie to, co robisz Ty, ale szkoły, które wypuszczają promowanych filozofów, ludzi z patentem na filozoficzne myślenie, tak jakby przeegzaminowanie kogoś ze znajomości iluśtamset liczby podręczników czyniło zeń filozofa, co to za piramidalny nonsensem, nabogażywego jedynego, co to za wymysł, że aż człowiekowi odbiera dech i każe w histerycznych skurczach związać ze śmiechem i rozpaczem! Z filozofią ma tyle wspólnego, ile ja z wzorową gospośnią – należy się od tego konsekwentnie i bezwzględnie izolować, bo ani jedna odkryta przez tych ludzi prawda nie jest godna uwagi, była odkryta w warunkach, które powodują, że nie jest prawdą nawet wtedy, gdy nią jest, jeśli mnie dobrze rozumiesz.

W jednym z listów pisesz, że pracowałeś nad swoją filozofią wszędzie, gdzie się dało, po knajpach, w moim łóżku, w rozpaczy, cynizmie i małoduszności, tylko nie w bibliotekach. Może niezupełnie, ale w pewnej mierze rzeczywiście tak jest, to znaczy jest tak w stu procentach, niezależnie od tego, że w ciągu tego czasu byłeś kilka razy w bibliotece. Dzięki temu znajduje się w stanie, w jakim się znajduje, i może nadal służyć celom innym niż czysto filozoficzne - jako coś, z czego można wyjść i na czym można budować. Nie wierzę i chyba już nigdy nie uwierzę, że w filozofii można cokolwiek osiągnąć na sucho, drogą samego kształcenia i wymydlonej uczoneości. Do wszystkich diabłów, czy istnieje coś bardziej podniecającego niż filozofia? I niech mi pokażą człowieka, który będzie w stanie w niej cze-

gokolwiek dokonać, jeśli wykluczy ten orgiastyczny magnetyzm. Przypominałoby to uprawianie seksu z zabezpieczeniem w postaci doskonale zdezynfekowanych i nieszkodliwych dla zdrowia pigulek – tylko że filozofia nie jest nieszkodliwa dla zdrowia i nie da się jej tak uprawiać. I bardzo Cię proszę, pozbydź się kompleksów z powodu tego, że Twoja filozofia nie jest dostatecznie lekkostrawna, by mogła stać się ozdobą akademickich bibliotek, to jest jej zaleta a nie wada, przede wszystkim jest to największa nadzieja, jaką ze sobą niesie, błagam, nie dopuść do tego, by utonęła w kropkach uczonego potu! Bóg dał Ci wyjątkowe zdolności, jak możesz być tak zarozumiała, by uważać je za źródło kompleksów i z skąd bierze się w Tobie tyle bezczelności, by chcieć się ich pozbyć tylko dlatego, że paru głupców, którym ich poskąpiono, ma na tę kwestię coś, co mają czelność nazywać poglądem, i to w dodatku poglądem, który się różni od Twojego – nie od Twojego poglądu, ale od Ciebie, rozumiesz? Jeśli do tej pory produkowałeś swoją filozofię po knajpach i wszystko było w porządku, to skąd nagle ta kurczowa potrzeba pracowitości i studiów? Jeśli któregoś dnia potrzeba stanie się naprawdę spontaniczna, wtedy owszem, dlaczego nie, tylko pamiętaj, że harmonia potrzeby i sensu jest właśnie jednym z owych niezwykłych darów, które częściowo masz a częściowo musiałeś sobie ciężko wypracować. Oznacza to, że przez większość czasu miałeś potrzebę robić rzeczy, które mają sens, choćby nawet w danym momencie był on ukryty, lub też miał się ujawnić dopiero po jakimś czasie, niekiedy nawet bardzo długim czasie. Zaufaj temu darowi, dziękuj zań Panu Bogu o każdej porze dnia i nocy i nie oddawaj mu go uwalaniem rzygowinami strachu i pracowitości, nie po to Ci go dawał. Mógłby Cię wysłuchać i zabrać Ci go, na Twoim miejscu byłabym bardziej ostrożna, z darami nie można igrać w ten sposób, kochanie. Wybacz, nie chciałabym być wulgama i impertynencka, ale rozumiesz przecież, dlaczego to piszę i o co mi chodzi.

Zaufaj trochę temu Panu Bogu, on już wie najlepiej, co robi, i zaufaj trochę samemu sobie, brak pewności siebie i niedocenywanie własnych możliwości to jeden z grzechów śmiertelnych, naprawdę i dosłownie śmiertelnych, to grzech, na który się umiera. Chyba jeszcze bardziej niż na przecenianie. Musisz być zatem świadom swoich możliwości, inaczej nigdy nie zdołasz ich wykorzystać. Któregoś dnia musiałbyś stanąć przed pytaniem, czy zrobiłeś wszystko, co było w Twojej mocy, wszystko, na co pozwoliły Ci twoje możliwości. Nie sądzę, by udało Ci się wytłumaczyć z tego pytania, jeśli pozwolisz, by zaślepiło Cię coś tak obskurnego, jak kompleksy. Tak rozumiana skromność nie jest cnotą, tak rozumiana skromność to w najlepszym przypadku głupota. Obdarzono Cię fenomenalną fantazją – czymś, czego nie da się zastąpić lekturą lepszej lub gorszej książki – (wyczytałam gdzieś magiczne zdanie, że fantazja to coś, czego niektórzy ludzie po prostu nie są w stanie sobie wyobrazić) fantazją, która daje Ci wielką przewagę. Fantazją, która jest żyzną glebą poezji i filozofii, żyzną glebą rzeczy, dla której na razie nie mam jeszcze nazwy, która jednak powstaje przez połączenie obydwu. Najgorsze, co mógłbyś zrobić, to nałożyć na swoją fantazję wędzidło definicji wziętych ze słowników filozoficznych i zamknąć ją na klucz w jednym pokoju, żeby Ci nie przeskadzała w pracy, którą będziesz wykonywać w drugim pokoju. Jeśli rzeczywiście masz stworzyć dojrzałe dzieło (a jestem przekonana, że tak się stanie), to musi to być dzieło, w którym zawrze się całość Twojej osoby, twoje skar-



petki, twój wstręt do bibliotek, zarost, piwo, twoja fantazja, intelekt i kutas, po prostu wszystko, bez wyjątku. Nic nie podnieca mnie bardziej, jak nadzieja na dzieło, które powstanie w bezpośrednim związku z wszystkimi tymi rzeczami, nadzieja na dzieło, z którego nic nie zostanie wyeliminowane, nadzieja na dzieło nieocenzone, surowe, brutalne, potworne, lecz absolutne. Na dzieło, które nie będzie nieszkodliwe dla zdrowia, po którego spożyciu będzie się rzygać i srać, po którego spożyciu opanuje człowieka uczucie szczęścia i grozy zarazem, na dzieło, które nie będzie mieć granic i nie dopuści, aby mu kiedykolwiek je wytyczono. I o niczym nie jestem przekonana o równą pewnością jak o tym, że takie dzieło stworzysz w całej jego konwulsyjnej słodyczy i orgiastycznej brzydocie. Ale właśnie dlatego nie chcę, aby jego dojrzewanie opóźniało się za sprawą przesądów, które należą do innego świata, niż nasz. Dlatego to wszystko piszę, bo jeśli mogę jakoś pomóc powstaniu tego dzieła, jeśli mogę jakoś własnym ciepłem wspomóc jego dojrzewanie (a bardzo tego chcę), to tylko tak, że - patrząc na to wszystko z oddalenia - będę grzmieć, gdy tylko pojawi się choć-

by najmniejszy cień czy skaza na jego doskonałości i geniuszu. Żadne gówno, w jakie się wpakujesz, żadna bzdura i żaden występki, jakiego się dopuścisz, nie będzie skazą. Będzie nią za to małość, kompleksy i poczucie niższości, wiemy o tym przecież oboje. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał, kochanie, tego wszystkiego nie da się od siebie oddzielić, tego, że Cię Kocham i tego, że chcę z Tobą spać, od tego, jak bardzo zależy mi na Twojej pracy. Trudno powiedzieć, jaki udział w tym, że mnie podniecasz, przypada Twemu ciału, które tak dobrze znam, a jaki którejkolwiek z naszych wspólnych debat, naprawdę trudno powiedzieć. Mogę z Tobą rozmawiać o filozofii w łóżku i czuć, jak wilgotniej mi cipa, gdy rozmawiamy o niej przy stole, tego przecież nie da się od siebie oddzielić. Chcę z Tobą przegadać całe godziny, abym mogła się z Tobą przespać i chcę się z Tobą pieprzyć całymi godzinami, żeby potem mogła z Tobą rozmawiać. Chcę, a właściwie muszę wiedzieć, że sypianie ze sobą i wszystkie te przegadane godziny wiążą się z Twoją pracą, inaczej nie miałyby to w ogóle sensu. Być może pewnego dnia uda nam się zespolic z sobą całkowicie

i będzie to coś więcej niż szczęście, ale ucieknę natychmiast, jeśli ten jedyny i prawdziwy sens się zatraci, ucieknę i wyjdę za inżyniera z wysokimi dochodami i własnym spartakiem, bo wtedy będzie mi już wszystko jedno.

**ttum. Igor Kędzierski**

**\*Jana Krejcarova - Jana Černá (1928 - 1998) tak jak jej matka, Milena Jesenska, tak jak Franz Kafka, a w końcu tak jak Praga, pozostaje wciąż zagadką. Literaturze zaś tajemnice służą jak nic innego. Jej legenda wyrosła jednak raczej ze sposobu życia niż skromnego dorobku literackiego. Przez niemal całe swoje życie miała bowiem romans z filozofem i poetą Egonem Bondym, czołową postacią czeskiego undergroundu. Przyjaźniła się z Bohumilem Hrabalem i była częstym gościem na jego Grobli Wieczności, gdzie spotykała między innymi Vladimira Boudnika.**

**Dokładną sylwetkę Poetki, w opracowaniu Igora Kędzierskiego przedstawimy w następnym numerze magazynu Mrówkojad.**

## NIEUSTAJĄCE WAKACJE

Strasznie się nudzę.

Nudzę się nawet we śnie

Ale nie jest to skutek bezczynności

Tylko tego, że wszystko na nic.

**Egon Bondy z tomu „Dzisiaj wypilem dużo piw”**

Wszystko na nic. Przynajmniej wakacje się kończą i dzięki bogu. Bo hasło „dzisiaj wypilem dużo piw” przez czas lipcowo-sierpniowy było odległe bywałkom Lokatora - chyba, że podczas występów gościnnych. Szkoda tylko, że nie pamiętają ci bywalcy, że gdzie byś nie pojechał (do takiego Paryża we Francji na przykład) to wszędzie będzie tak samo. Czy nie lepiej zatem tu, na miejscu i swojsko studencie piwo sączyć, choćby z kostkami lodu trzema, a nie pozwalać, żeby jedyną rzeczą hulającą swawolnie po lokalu był burliwy wiatr, w związku którym nie ma nawet sensu wzywać ochrony?

Na szczęście już po wszystkim. Zaczyna się nowe - uczniowie do szkół, barmani do barów, studenci do ustronnych stolików. Byleby ruch powrócił. Ruch co jest rewersem bez-ruchu i mieszania się niczego w niczym. Ruch to coś takiego, co sprawia, że udaje nam się zapomnieć, że tak w istocie wszystko na nic. Nawet kiedy (jak zbadali japońsko-amerykańscy naukowcy) po trzecim, czwartym piwie chwytamy się przy dialogach tematów politycznych, to właśnie ruch wybawia nas od kompromitacji zaistniałą sytuacją. Choćby i ruch warg, potakujących głów, czy ekstremalny ruch w kierunku podziemnej toalety w różę.

Jest też ta znakomita czynność, kiedy z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku dostarczamy do stolika pokazną ilość płynów nieobojętnych w szklach pilnie wypolerowanych. Piękny to ruch i jakże niedoceniony przez sztukę. Ta magiczna chwila kiedy się wszystko dopiero kształtuje, usta jeszcze na brzegu pucharu nie spoczęły i być może jest jeszcze szansa na wartościowe spotkanie, niekoniecznie na mocno procentami zaprawianą kompromitację (co się mniej uważnym niestety zdarza...). Dopiero się wydarzy - mamy nadzieję - jakieś unikalne zdarzenie, wyśmiedyszczodry z absurdu tego świata chociażby, na osłodę

może uroczę jakieś spojrzeń (nie tylko?) wymienienie z kimś płci przeciwnej (niektórzy wolą tej samej, ale ich zostawmy, bo są oni „jak zwierzęta” - „czynią wbrew naturze”, a poza tym „to się leczy”, choć, co najgorsze, „nie da się tego ukryć”...). Albo też zwykła wakacyjna opowieść o podróżach po bezdrożach wschodu i zachodu, udawaniu Greka, piciu wódki szklankami, mieniu gdzieś wszystkiego na włoskich, do czerwoności rozgrzanych plażach... eh, może czasem nie wszystko na nic?

Różnego rodzaju uniesieniom w rozgrzanych intelektualnie głowach lokatorów sprzyjać będą kolejne porcje darmowej kultury - jak choćby nowe serie filmowych spotkań między innymi z Hal'em Hartleyem, Nicolausem Roegiem i Stingiem. Inne „uciechy” też się znajdują, literackie na przykład. Bo przecież z takiego „nudzenia się nawet we śnie” niektórzy potrafią skroić niezły kawałek książki, na co istnieją przykłady, które pewnie uda się zaprezentować. Niniejszym uważam wakacje za zakończone. Powiedzmy.

PS. Tym razem ani słowa o panach Romanach, Andrzejach, Jarosławach, Lechach i Donaldach majstrach od „polityki”. Bo szkoda gadać.

pawel.scibisz@kinoskop.pl

# Agnieszka Taborska OKRUSZKI

## Magik

Spędzałam kiedyś jakiś czas, zbyt długi, w górnym mieście Saint-Etienne w okolicach Lyonu. Faldy co prawda dawno porosły zielenią, a część kopalni zmieniono w muzeum, ale Saint-Etienne nadal uważało się za miasto górnicze. Do muzeum zjeżdżało się tylko piętro, lecz przesuwała się za drzwiami dziwnego taśma wywoływała wrazenie, że jest się kilometry pod ziemią. Na dorocznych targach książki przebrani za górników mieszkańcy zachęcali do kupna literatury przedmiotu. W Saint-Etienne żyła górnicza tradycja. Tym bardziej nieoczekiwana była wiadomość, że odbędzie się tam wielki zjazd francuskich magików. Wszystkich francuskich magików, a przynajmniej tych, którzy utrzymywali się z zawodu. I rzeczywiście, górnicze czapy wkrótce znikły wśród kapeluszy z podwójnym denkiem, kolorowych chust i królików wyściąganych z rękawa, talii kart układających się w wieże w Pizie i innych blizujących rekwiizytów. Władze miasta - wyraźnie znużone wizytami górnicych delegacji z zaprzyjaźnionych krajów - podjęły magików z pompą. Galowy pokaz zaplanowano na drugi dzień. Pierwszy miała uświetnić ufundowana przez miasto kolacja dla trzystu osób. Tylu bowiem magików żyje we Francji ze swego - jak się miało przekonać - niewdzięcznego zawodu.

Kolacja odbywała się w jednej z owych niszczących dusze francuskich miast, wszędzie takich samych salles polyvalentes - dużych pomieszczeniach bez charakteru, nadających się i na salę teatralną, i na nieprzytulną restaurację. Takie właśnie wnętrza wypełniło trzystu zmęczonych podróżą magików plus garść osób zaproszonych przez władze miejskie. Zasiadliśmy przy okrągłych, dziesięciociosobowych stołach. Pokazy wybranych mistrzów odbyć się miały przy desery. Jak można się było domyślić, zgromadzeni przy stołach magicy postanowili popisać się przed gośćmi spoza fachu. Przy naszym stole byłam nim tylko ja. Z zapartym tchem obejrzałam sztuczki ośmiu mistrzów. W ruch poszły karty, chusty, kule i kapelusze. Stanowiłam wdzięczną publikę, często dającą wyraz zdumieniu. Do dziś mam parniaki z dobrego początku wieczoru: zapisane przez magików serwetki z liczbą, o której chwilę wcześniej pomyślałam; skrawek kilimetrowej czerwonej chustki wyciągniętej z pustego kieliszka; asa, cudem znanego w mojej torbeczce. Tylko od dziewiątego magika nie dostałam nic. Zaczęło się niewinnie. Wręczył mi talę, kazał pomyśleć o miesiacu, w jakim się urodziłam (styczeń) i pod stołem przelożyć dwie karty ze spodu talii na górę. Wszystko starannie wykonałam. Kelnerzy już roznosili przystawki. Po dałam dziewiątemu magikowi wyciągniętą spod stołu talę. Przyjrzał się jej uważnie i zawyrokował: „Luty”. Potem nastąpiła idiotyczna wymiana: „Styczeń”, „Luty”, „Styczeń”. Było już za późno, bym przystała na luty. Magikowi trzęsły się ręce i broda. Na policzki wystąpiły mu czerwone plamy. Czolo pokrył pot. Ośmiu kolegów siedziało w milczeniu. Powiedziałam, że na pewno źle przelożyłam karty. On jednak nie chciał o tym słyszeć. „To moja wina” - wyszeptał, usiłując schować talę, która wysunęła mu się z tak przecież sprawnych dłoni i rozszarpała po dywanie. Ośmiu magików ani digneło. Pomogłam mu zebrać karty, które wzięt ode mnie bez podziękowania, z miną, jakbym skazila je na zawsze. Po czym wyszedł, nie oglądając się na świadków swej klęski. Nie wrócił do końca kolacji, ani nie przyszedł na pokaz przy deserze. Zobaczyłam go dopiero następnego dnia na przedstawieniu galowym. Na uśmiech i powitanie nie odpowiedział. Zaniepokoiło mnie jednak co innego: przez cały wieczór siedział sam, niezauważany przez kolegów. W zatoczonyj sali miejsca po obu jego stronach były puste. Mam nadzieję, że przez przypadek. Choć magicy w przypadki nie wierzą.

**Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!**



# Na realizmie magicznym... muchaniesiada.

O prozie latynoamerykańskiej  
z Katarzyną Mroczkowską-Brand\*  
i Tomaszem Pindlem\* rozmawia  
Iga Noszczyk.



Foto: Piotr Kaliński. Klub LOKATOR, Czerwiec 2007

Iga Noszczyk: Aby dyskutować o realizmie magicznym: o tym, za co go kochamy lub, za co go nie znosimy, powinniśmy chyba najpierw – na własny użytek – zdefiniować ten termin. Polska dyskusja na temat realizmu magicznego jest o tyle utrudniona, że ten nurt pisarstwa nie jest chętnie uprawiany w Polsce; znamy go więc z literatur obcych, głównie hispanojęzycznych, które – to dodatkowa niedogodność – poznajemy zwykle w tłumaczeniach. Jak więc Pani zdefiniuje swoje-  
go przyjaciela, Pan zaś – wroga?

Katarzyna Mroczkowska-Brand: Po pierwsze, nie zgadzam się z tym, abyśmy mieli aż tak bardzo marny dostęp do dzieł literatury latynoamerykańskiej. Były lata, kiedy tej literatury tłumaczyło się u nas i wydawało naprawdę wiele. Więc przeciwnie – wydaje mi się, że nasza sytuacja jest wyjątkowo korzystna; zarówno w sensie ilości wydanych książek, jak i jakości przekładów. Paradoksalnie, jeśli brnąć pod uwagę ówczesną sytuację polityczną, w latach siedemdziesiątych i do połowy lat osiemdziesiątych ukazał się w Polsce – myślę tu głównie o serii Wydawnictwa Literackiego, dla którego doskonale tłumaczenia robiła Zofia Chądzyńska – niemal cały kanon najważniejszej współczesnej prozy latynoamerykańskiej. To tylko taka dygresja, a teraz – próba definicji realizmu magicznego, o którą Pani prosiła. Przede wszystkim, trzeba powiedzieć, że jest to termin niedopracowany, ogromnie nadużywany, wy-

korzystywany jako nośny chwyt marketingowy. Skutek jest taki, że pod marką realizmu magicznego wydaje się wiele książek zupełnie niewartościowych i takich, które z tym nurtem nie mają zupełnie nic wspólnego. Czytelnicy się zrażają, zaś niedookreśloność, workowatość tego pojęcia staje się dobrym pretekstem do odrzucenia nurtu w całości. Dwa największe nieporozumienia związane z realizmem magicznym są takie, że – po pierwsze – zdarza się, iż w ten nurt wpisuje się całą literaturę latynoamerykańską; a drugie, że realizm magiczny jest do tej literatury ograniczany. Ja – jako komparatystka – zaciekle walczę zwłaszcza z tym drugim przesądem. Bo prawda jest taka, że teraz realizm magiczny zaczyna żyć znacznie ciekawiej poza Ameryką Łacińską, gdzie faktycznie już się niemal wypalił. Więc pierwsza robocza definicja byłaby taka: jest to nurt, który – choć nie ograniczony do Ameryki Łacińskiej, na tamtym właśnie obszarze w pewnym czasie zaistniał ze szczególną intensywnością. Składają się nań teksty, które zawierają zasadniczą dominantę stylu realistycznego (rozumianego tak, jak w powieści XIX i XX-wiecznej; chodziłoby więc tu o ogromną szczegółowość opisu, z mnóstwem wrażeń zmysłowych, które ten opis czynią gęstym oraz o stosowanie mnóstwa chwytów uprawdopodobniających), w którą wpleciony zostaje element jakiejś niesamowitości, czegoś, co nie daje się do końca określić, jakichś – bądź niesamowitych, bądź metafizycznych, bądź zagadkowych –

elementów; ale, co ważne, wplecionych jako integralna i oczywista część świata przedstawionego, a nie jakiś niesamowity inny świat, który się nagle otwiera. Nazywam to równouprawnieniem innych wymiarów. Realizm magiczny to kwestia proporcji; proporcji jednej nitki magii przeplatającej całą tkaninę realizmu.

IN: Zanim poproszę Pana o to samo, o zdefiniowanie realimu magicznego, chciałabym zacytować krótki fragment tekstu, który już kilka lat temu opublikował Pan w „Literaturze na Świecie”, w numerze poświęconym najnowszej prozie iberoamerykańskiej: „Za co czytelnicy na całym świecie kochają literaturę latynoamerykańską? Za egzotykę. Za to, że ciekawa. Za nowatorstwo, które jednak nie zaniedbało fabuły. Za opisywanie atrakcyjnych miejsc i zdarzeń w atrakcyjny sposób. Za niepowtarzalny klimat. Za realizm. I za magię. Za co młodzi pisarze latynoamerykańscy nie cierpią literatury latynoamerykańskiej? Za mniej więcej to samo.” (Tomasz Pindel, *McOndo*, „LnŚ” 9-10/2004, s. 192). Dlaczego?

Tomasz Pindel: To, co Pani zacytowała, to (przynaję, nieco efekciarski) początek artykułu, który próbował zdiagnozować podejście młodych do realizmu magicznego. O sam realizm magiczny i jego definicję jakoś specjalnie się z Panią Mroczkowską-Brand nie pokłócimy, bo wydaje się to dość oczywiste. W ogóle jest tak, że – kiedy rozmawiamy o książkach nie w dyskursie akademickim, ale na podstawowym poziomie czytelnickim – instynktownie rozpoznajemy gatunki i dokładnie umiemy odróżnić *science fiction*, *fantasy*, baśń czy realizm magiczny. Problem pojawia się wtedy, gdy próbujemy je dokładnie opisać i zdefiniować i gdy zaczynamy mówić o konkretnych książkach. Wtedy okazuje się, na przykład, że powieść, którą określamy instynktownie jako kryminalną, ma w sobie także, dajmy na to, spory ładunek społeczny i jest też przy okazji powieścią obyczajową czy romansem i tak dalej, i tak dalej. Co dowodzi, że nazwy gatunkowe są tworami mocno efemerycznymi, mają w sobie coś ze zjaw, które trudno uchwycić, rozpoznać i nazwać. A z realizmem magicznym problem jest tym większy, że jest on bardzo modny. I był od początku. Nie dość, że realizm sam w sobie potrafi poruszyć w człowieku to samo, co porusza prasa bulwarowa: potrzebę plotki, znalezienia tego, co atrakcyjne w zwykłej codzienności, to magiczność wzbogaca ów realizm o współczynnik irracjonalności, o odkrywanie cudowności w szarej przyziemności. I stąd realizm magiczny stał się czasem „etykietką” – naklejaną ewidentnie na siłę – na tył książki. Najpierw stał się modny wśród czytelników, później zaś szybko wśród krytyków i badaczy; każdy, kto zajmował się literaturą latynoamerykańską, szybko poczuł się w obowiązku, by napisać jakiś solidny artykuł o realizmie magicznym. Stąd, już w latach sześćdziesiątych powstało mnóstwo definicji tego nurtu, często nie mających ze sobą nic wspólnego.

Dla mnie realizm magiczny to taka proza, która wkłada nam na oczy bardzo specjalne okulary; takie, które całkowicie zmieniają naszą perspektywę patrzenia na świat z punktu widzenia kultury i cywilizacji Zachodu, kultury urabiającej nas na ludzi kierujących się wyłącznie zdroworoządkową, racjonalistyczną, naukową wizją świa-



ta. A realizm magiczny pokazuje nam perspektywę kogoś, kto dopuszcza do siebie myślenie magiczne, czyli zaciera mocny podział na to, co zdroworozsądkowe i co irracjonalne, co naturalne i co nadprzyrodzone. Ale w momencie, gdy tę ogólną definicję zastosuje się do konkretnego korpusu tekstów (z których najsłynniejszym pozostaje *Sto lat samotności*), wtedy trzeba ją uszczegółowić. Zresztą, skoro wspomniałem książkę Marqueza... często mówi się o niej jako o równoczesnym zwieńczeniu i zamknięciu realizmu magicznego. Mówi się o ironii magicznej tej powieści; jest ona tak bardzo samoświadoma wszystkich chwytów, jakie stosuje, doprowadza je do takich granic, że po niej – jak się wydaje – nic nowego w realizmie magicznym zrobić się już nie da. To, zresztą, taka sama historia, jak pełna samoświadomość *Don Kixote'a* jako powieści rycerskiej. Tak więc, jak mi się wydaje, problemy z definicją wynikają z tego, że próbujemy ją opierać na tych „dzielach końcowych”, zapominając jednocześnie choćby o Rulfo, Asturiasie czy wczesnej Allende.

KM-B: Oczywiście, ma Pan rację. W krajach Ameryki Łacińskiej od dawna widoczne są symptomy pewnego wyczerpania. Ale nie zapominajmy o Europie, Ameryce Północnej, Kanadzie i – zwłaszcza – Nowej Zelandii. Tam ten nurt wciąż żyje, nieustannie się przepoczwarza, mieszając się z lokalnymi tradycjami i wierzeniami tubylców. Tam realizm magiczny jest wciąż aktualny i świeży. Zresztą i w Polsce jest nań miejsce; choćby w Galicji przez wiele lat mieszały się wpływy polskie, ukraińskie, niemieckie, żydowskie, ormiańskie. Przestrzenie wielokulturowe to bardzo podatny grunt na zaszczerpienie realizmu magicznego. Bo wszędzie tam, gdzie miesza się wiele kultur i religii, otwiera się przestrzeń dla myślenia magicznego. Polskie dzieła, jakie chciałabym wpisywać w realizm magiczny to niektóre powieści Tokarczuk czy filmy Kolskiego. Więc nie jest tak, że realizm magiczny dzieje się tylko w Ameryce Łacińskiej, Nowej Zelandii czy Kanadzie. W Polsce mamy, oczywiście, inny wariant, ale nadal możemy go nazywać realizmem magicznym.

**IN: Historia realizmu magicznego, jego warianty i wcielenia, problemy żywości i wyczerpania, epigoństwa i nowości to temat – rzeka. Nie wspomnieliśmy też przecież w ogóle o drugiej stronie boomu literatury latinoamerykańskiej poza Ameryką Łacińską, o popularności Cortazara, Vargasa Llosy, Borgesa (by wymienić tylko tych kilku najważniejszych pisarzy), którzy – całkowicie bądź w dużej mierze – pisali poza realizmem magicznym. Porozmawiajmy teraz o *postm@condo*, niedawno powstałej serii wydawnictwa muchaniesiada.com, stworzonej i prowadzonej przez Pana Tomasza Pindla. Jak głosi „manifest”, zamieszczony na skrzydełku okładki polskiego wydania powieści Jaime Bayly'ego *Noc jest dziewicą* (ta książka otwiera wspomnianą serię), *postm@condo* tworzone jest wyraźnie przeciwko omawianemu nurtowi. Skąd taki pomysł? Skąd taka potrzeba?**

TP: W tej serii mają ukazywać się utwory młodego pokolenia prozaików iberoamerykańskich. To są pisarze urodzeni w latach sześćdziesiątych, którzy doszli do głosu w latach dziewięćdziesiątych. Oni należą, oczywiście, do różnych pomniejszych pokoleń i grup, ale tym, co ich wyraźnie łączy, jest duża niechęć do epigońskiej odmiany literatury realizmu magicznego. Nie ma tu, absolutnie, mowy o „poetyce zabójstwa”. Bo we wszelkich tekstach-manifestach tych pisarzy pojawia się ton ogromnego szacunku, fascynacji, podziwu wobec największych twórców; natomiast tym, co wzbudza ich ogromną niechęć, jest nurt epigoński, ogromna ilość bezwartościowych błyskotek, które powstawały w momencie, gdy pisarze tych młodych pokoleń zaczęli czytać i poszukiwać wzorców.

KM-B: Ma Pan zupełną rację. Młodzi pisarze mają święte prawo czuć się zmęczeni tym, że krytyka próbuje wrzucić wszystko do jednego worka, że nadal – gdy słyszy się hasło „literatura latynoska” – myśli się wyłącznie o realizmie magicznym. Jak mówię, mają święte prawo do tego, by się temu sprzeciwić, by się złościć i proponować coś innego, co – ich zdaniem – będzie ciekawsze i świeższe. Jednak nie usprawiedliwia to gestu zbyt jednoznacznego, jaki wykonują zarówno oni, jak i Pan, pisząc podobną notkę-manifest serii *postm@condo* na okładce powieści Bayly'ego... odsądzanie całego realizmu magicznego od czci i wiary jest gestem niesprawiedliwym. Jest to niesprawiedliwe nie tylko wobec literatury latinoamerykańskiej, ale i w ogóle – wobec całej historii literatury XX wieku. Zwłaszcza, że – moim zdaniem – młodzi pisarze latynoscycy niewiele dobrego mają do zaoferowania. Być może największą wartość historycznoliteracką realizmu magicznego stanowiło to, że dzięki niemu Ameryka Łacińska po raz pierwszy przemówiła własnym, odrębnym głosem. Po raz pierwszy nie doganiała rozpaczliwie Europę, lecz odwrotnie: to Londyn czy Paryż stały zapatrzone w Buenos Aires. Natomiast te dwie pierwsze książki Pańskiej serii – powieści Jaime Bayly'ego i Eduardo Paz-Soldana – to, moim zdaniem, nawrót do poprzedniej sytuacji. Nie ma tu nic nowego, nie ma niczego, co by już wcześniej nie zostało opisane gdzieś w Europie. To epigoński powrót do pozycji wyjściowej. Mamy tu globalną wioskę, internet, wypalenie postmodernistyczne, narkotyki, kulturę gejojską... i dzięki temu wszystkiemu wydaje im się, że są w głównym nurcie. A w gruncie rzeczy są z powrotem w koloniach!

TP: Pojawiło się tu wiele wątków. Spróbuję odpowiedzieć przynajmniej na część z nich... Przede wszystkim, zamiarem serii jest pokazanie tego nowego, co dzieje się w młodej literaturze latynoskiej. Nie chodzi nam bynajmniej o to, by powiedzieć, że starych i uznanych pisarzy nie należy już w ogóle czytać. Zresztą, oni i tak mają już na stałe zaklepaną solidną pozycję w kanonie. Zaś tych nowych pisarzy trzeba dopiero przedstawić... Nie zgadzam się też z patrzeniem na literaturę jak na jakiś wyścig; z myśleniem, że dobrze jest dla literatury latinoamerykańskiej, gdy Europa jest zapatrzona w nią (myślę tu choćby o tych wszystkich europejskich epigonach Cortazara czy Borgesa; to wcale nie było dobrze!), zaś nie jest dobrze, gdy okazuje się, że kontynuatorów nie ma. Faktycznie, Bayly i Paz-Soldan piszą o wielu rzeczach tych samych czy podobnych, co ich koledzy z Europy, ale to dlatego, że obecnie – faktycznie i nieodwracalnie – świat się zglobalizował i współczesne życie Peruwianczyka czy Boliwijczyka nie różni się jakoś znacznie od życia Europejczyka czy Amerykanina. Przecież oni słuchają tej samej muzyki, oglądają podobną telewizję, ale jednak – i to widać w tych powieściach – nie na wszystko patrzą tak samo. *Noc jest dziewicą* w dużej mierze opowiada o tym, jak współczesny młody Latynos odnajduje się w kontekstach pozalatynoskich. Oczywiście, bohater mógłby pewnie podobnie imprezować, narkotyzować się i robić inne mniej czy bardziej zabawne rzeczy w każdym innym wielkim mieście świata; ale jednak robi to w Limie. I nie jest to Lima taka, jaką chcielibyśmy widzieć my, z zewnątrz – na każdym kroku obfitująca w jakieś inkaskie pozostałości i przeniknięta peruwiańsko-indiańskim posmaczkiem, lecz widziana z wewnątrz, przez młodzież Limeńczyka: na wskroś współczesna i aktualna. Nie twierdzą, że wkrótce Paz-Soldan prześcignie Vargasa Llosę... być może nie prześcignie go nigdy. Twierdzą jedynie, że ciekawość świata sprawia, że chciałoby się wiedzieć, co pisze się teraz. I my to chcemy w *postm@condo* pokazać.

**IN: W antologii *McOndo*, wydanej w Hiszpanii w 1992 roku, zbiorze opowiadań, którymi de-**

biutowali wspomniani Bayly i Paz-Soldan, a także Rodrigo Fresan (jego książka *Ogrody Kensington* ukaze się jesienią 2007 roku jako kolejna pozycja serii *postm@condo*), czytamy we wstępie-manifeście: „Realizm magiczny to literacka maniera schlebająca gustom masowych czytelników. To nie jest prawdziwa literatura. Bo prawdziwa literatura opisuje prawdziwą rzeczywistość.”. Widzę tutaj kilka problemów. Po pierwsze: czy realizm magiczny to – koniecznie – poetyka schlebająca gustom mas? Czy realizm magiczny z najwyższej półki nie został aby, przez takie uogólnienie, potraktowany niesprawiedliwie? Po drugie: czym ma być „prawdziwa rzeczywistość”? Jeśli wierzymy w „obiektywnie istniejące” coś poza nami, fraza ta jest tautologią; jeśli zaś nie wierzymy, to wtedy każda z proponowanych rzeczywistości jest równie prawdziwa lub równie nieprawdziwa. Po trzecie zaś (i łagodzące to, co powiedziane przed chwilą): miejmy świadomość, że mówimy tu o próbie przełomu, o poetyce manifestu, która często posługuje się niesprawiedliwymi uogólnieniami, mocnymi słowami, gestami zerwania ze wszystkim i ze wszystkimi...

KM-B: To jednak nie zmienia faktu, że takie słowa – napisane przez autorów tamtej antologii wtedy czy teraz, jako chwyt reklamowy na okładkach książek muchaniesiada.com – są nie do końca prawdziwe i nie do końca uczciwe. Argument manifestu tłumaczy, dlaczego, w jakim celu, zostało to napisane, ale nijak tego nie usprawiedliwia. Pozostaje to chwytem poniżej pasa, chwytem bardzo nie *fair*.

TP: Ten trop manifestu jest tropem, który chciałbym w tym momencie podjąć. Prawda jest taka, że prowadzimy w tej chwili dyskusję w tonie lekko akademizującym; natomiast najistotniejsza część dyskusji literackiej toczy się w rejestrze, nie powiem – potocznym – ale znacznie bardziej emocjonalnym. Dlatego jednoznaczny atak na pewne elementy tego, co szacowne, jest właśnie cechą manifestu i cechą rozpoznawczą nowego pokolenia. I nie ma co dramatyzować. Przecież jedna książka, którą przeczyta może kilka tysięcy osób, nie jest w stanie zafalszować uznanej pozycji uznanych pisarzy. Ton lekkiej agresji sugeruje jednak to, co najważniejsze – odmienną tę literaturę (możemy się kłócić, czy jest ona lepsza, czy gorsza; czas rozsądzi, nie w tym rzecz). Ważne jest też to, że ten agresywny ton ferowania sądów, pewna bezkompromisowość, są tym, co napędza dyskusję literacką. I to jest dla mnie bardzo ważne. To, między innymi, dlatego zdecydowałem się pokazać te książki polskiemu czytelnikowi.

**Tekst jest nieautoryzowanym zapisem (i znacznym skrótem) dyskusji, jaka odbyła się w LOKATORZE 13. 06. 2007.**

**\*dr Katarzyna Mroczkowska-Brand jest pracownikiem Katedry Komparatystyki UJ, gdzie od kilku lat prowadzi autorski kurs *Realizm magiczny czyli równouprawienie innych wymiarów*. Romanistka, iberystka i anglistka. Tłumaczka dzieł Ryszarda Kapuścińskiego na język angielski.**

**\*dr Tomasz Pindel jest pracownikiem Instytutu Amerykanistyki i Studiów Polinijnych UJ. Autor doktoratu wydanego pt. *Zjawy, szaleństwo i śmierć: fantastyka i realizm magiczny w literaturze hispanoamerykańskiej*. Tłumacz literatury hispanojęzycznej. Współtwórca nowego krakowskiego wydawnictwa muchaniesiada.com ([www.muchaniesiada.com](http://www.muchaniesiada.com)).**

Przed czytaniem, rozciąć. Przed rozcięciem, usiąść!

# Lokator [wrzesień 2007]

**DARMOWY INTERNET  
DLA WSZYSTKICH KLIENTÓW  
KLUBU LOKATOR**



01.09.2007 (sobota), g. 19.00  
**LOKATOR ON THE TOUR**  
Urodziny klubu „Stara Drukarnia”  
(Rzeszów, ul. Bożnicza 6)  
oraz wernisaż wystawy „Grafika Grafików III”

3.09.2007 (poniedziałek) od 18.00 do 24.00  
**KSIĘGARNIA** klubu LOKATOR  
zaprasza od poniedziałku do soboty  
od 18.00 do 24.00 Sprawdź nasze nowości !!!

6.09.2007 (czwartek),  
[wrzesień - październik]  
**GALERIA KSIĄŻKI** klubu LOKATOR prezentuje:  
„NeapoLecce” - txt: Olczyk, grafiki: PIO  
Kraków 2007, wydawnictwo Lokator,

10.09.2007 (poniedziałek), g. 20.00  
**Galeria** klubu LOKATOR prezentuje:  
Waldemar Libera - finał wystawy MALARSTWA  
oraz koncert zespołu LAS WEGAS  
- Piotrowicz, Libera, Nawrocki

13.09.2007 (czwartek), g. 19.00  
**Dom Norymberski** prezentuje:  
Fredder Wanoth - DUNAJ  
wernisaż wystawy fotografii.

17.09.2007 (poniedziałek), g. 20.00  
**Klub Filmowy Lokator** prezentuje:  
„Atak Francuskiej Animacji”  
info: www.lokator.pointblue.com.pl  
Prelekcja: Mariusz Frukacz

22.09.2007 (sobota)  
**IV seminarium PATAFIZYCZNE** Jana Gondowicza  
Rozpoczęcie nowego semestru patafizycznego.  
ZAPISY I INFORMACJA W BARZE klubu LOKATOR

29.09.2007 (sobota), g. 19.30  
**LIVE MUSIC** at LOKATOR  
info: www.lokator.pointblue.com.pl

5.10.2007 (pointek), g. 20.00  
**GALERIA** klubu LOKATOR prezentuje:  
PIOtr Kaliński - „Dyńa 30” - tribute to S. Wejman  
Wernisaż wystawy grafik oraz urodziny autora.



## WYDAWNICTWO LOKATOR

**Galeria Książki** klubu LOKATOR prezentuje:  
„NeapoLecce - notatki z podróży”  
txt: Jacek Olczyk, grafiki: PIO  
Kraków 2007, tom II, twarda oprawa.  
Nakład 50 egz. ręcznie numerowanych.

*Ta książka jest zapisem podróży która rozegrała się w naszych głowach 2 lipca 2006 roku na trasie Neapol - Caserta - Lece. Jest to rodzaj szkicownika, dziennika, opowieści prowadzonej przez każdego z nas, w tym samym wagonie restauracyjnym, przy tym samym stole, z widokiem na te same miejsca, lecz w inny sposób. Ta podróż odbyła się tylko w jedną stronę.*  
**PIO 2007**

**Galeria KSIĄŻKI: Wrzesień - Październik 2007**

## KFLokator

CYKL: „CINEMATIC NEW YORK”  
prezentuje: Denis McEvoy

11.09.2007 (wtorek), g. 20.00  
Harold Loyd, „Speedy”, (USA 1928)

12.09.2007 (środa), g. 20.00  
Martin Scorsese, „After Hours”, (USA 1985)

18.09.2007 (wtorek), g. 20.00  
Woody Allen, „Manhattan Murder Mystery”, (USA 1993)

19.09.2007 (środa), g. 20.00  
Wes Anderson, „The Royal Tenenbaums”, (USA 2001)

## NICOLAS ROEG 24 - 27.09.2007

prezentuje: Adam Uryniak  
24.09.2007 (poniedziałek), g. 20.00  
**Walkabout** - UK/Australia/USA 1971  
scenariusz: Edward Bond, zdjęcia: Nicolas Roeg  
muzyka: Karlheinz Stockhausen, obsada: Jenny Agutter, Luc Roeg, David Gulpill

25.09.2007 (wtorek), g. 20.00  
**Nie oglądaj się teraz (Don't Look Now)**  
Wielka Brytania/USA 1973  
scenariusz: Chris Bryant, Allan Scott, zdjęcia: Anthony B. Richmond Nicolas Roeg, muzyka: Pino Donaggio  
obsada: Julie Christie, Donald Sutherland

26.09.2007 (środa), g. 20.00  
**Człowiek, który spadł na ziemię (The Man Who Fell to Earth)** UK/USA 1974  
scenariusz: Paul Mayersberg, zdjęcia: Anthony B. Richmond, muzyka: Stomu Yamashta, obsada: David Bowie, Rip Thom

**Eureka USA 1984**  
scenariusz: Paul Mayersberg, zdjęcia: Alex Thomson  
muzyka: Stanley Myers, Hans Zimmer  
Obsada: Gene Hackman, Theresa Russell, Rutger Hauer, Mickey Rourke, Joe Pesci

**Księgarnia i Czytelnia klubu LOKATOR otwarta od poniedziałku do soboty od 18.00 do 24.00**



# www.lokator.pointblue.com.pl

CODZIENNA INFORMACJA O SPOTKANIACH W KLUBIE LOKATOR

patronat:

